IMPRESJE O CNOTACH

LITWO, OJCZYZNO MOJA

ZNAD WILII

DWUTYGODNIK

Rok IV, nr 6 (59) Wilno,15 - 28 marca 1992 cena 1 rb. (1500 zł., indeks 383678)

STRATEGIA UTRWALENIA PRAW CZŁOWIEKA

Minęły trzy burzliwe w wydarzenia geopolityczne lata od chwili zakończenia w styczniu 1989 r. Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE) w Wiedniu i do zaplanowanej na 24 marca 1992 r. Konferencji w Helsinkach. Zmieniła się mapa polityczna Europy, odrodziły się na powrót dążące do demokracji niepodległe państwa. Naturalnie, w tym Republika Litewska, która wolna 11 marca br. obchodziła swą drugą rocznicę odrodzenia niepodległości. Osiągnięto znaczny postęp, ale też wyłoniły się nowe problemy, jak też nie zostały rozwiązane pewne stare, nad czym pracuje wiele organizacji, w tym pozarządowych.

W dniach 28 lutego - 1 marca br. w Wiedniu pod auspicjami Międzynarodowej Federacji Komitetów Helsińskich Praw Człowieka (IHF) i Komitetu Helsińskiego Austrii odbyło się Sympozjum Międzynarodowe dotyczące praw człowieka w krajach Europy Środkowo-Wschodniej.

Zabierając głos podczas otwarcia sympozjum wiceprezydent Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, Friedriech Koenig podkreślił, że warunkiem przyjęcia państw Europy Środkowo-Wschodniej do RE jest przestrzeganie praw mniejszości w ubiegających się o przyjęcie państwach.

Sesję plenarną na temat "Ocena sytuacji praw człowieka w tworzących się demokracjach Europy, ich pogwałcenie i możliwości poprawy" zagaił korespondent BBC na Europę Wschodnią Misha Glenny, który na jugosłowiańskim przykładzie udowodnił, że utrzymanie na siłę państw i narodów dążących do niepodległości jest niemożliwe. Jedno z podstawowych praw człowieka - prawo do wolnej Ojczyzny musi być zagwarantowane.

W dyskusji plenarnej uczestniczył niżej podpisany autor, który przedstawił kilka uwag dotyczących naszego regionu, w tym wzajemnego przenikania się narodów i ich więzi, odszukania tożsamości narodowej w wolnej Ojczyźnie, a także ewentualnych niebezpieczeństw zagrażających mniejszościom w warunkach rozgrywek międzypaństwowych oraz szczególną ważność nienaruszalności granic.

W toku prac czterech grup roboczych najwięcej też czasu poświęcono różnym problemom, dotyczącym mniejszości narodowych. Grupy te opracowały wstępne raporty końcowe, których wersja ostateczna będzie dopracowana przez IHF. Świadczy to o umiędzynarodowieniu problemu mniejszości narodowych, wymienione materiały będą przedstawione uczestnikom właśnie owej marcowej Konferencji Helsińskiej KBWE.

W dniu zakończenia sympozjum przedstawiciele Rady Europy, sekretariatu KBWE w Pradze oraz kierownictwo IHF podkreślili coraz bardziej wzrastającą rolę pozarządowych organizacji (NGO) w procesie rozwoju demokracji w Europie Środkowo-Wschodniej.

Przedstawiciele Duńskiego Komitetu Helsińskiego zaproponowali utworzenie w Warszawie Centrum Obrony Praw Mniejszości Narodowych Europy, które by opracowywało dane o sytuacji mniejszości w regionach i prowadziło w nich odpowiedni nadzór oraz złożyli raport o sytuacji mniejszości litewskiej w Polsce i polskiej na Litwie. Traktuje o tym tekst obok.

Czesław Okińczyc

INTERNATIONAL HELSINKI FEDERATION FOR HUMAN RIGHTS

IHF jest pozarządową, nie dążącą do zysku organizacją nadzorującą przestrzeganie praw człowieka zgodnie z wymogami Helsińskiego Aktu Końcowego i innych jego dokumentów. Koordynuje ona pracę narodowych Komitetów Helsińskich w 20 krajach i ma bezpośrednie kontakty z aktywistami walczącymi o prawa człowieka w krajach, gdzie Komitetów Helsińskich nie ma.

IHF reprezentuje narodowe Komitety Helsińskie w:

Austrii, Kanadzie, Czecho-Słowacji, Danii, Finlandii, Francji, Niemczech, Węgrzech, Włoszech, Holandii, Norwegii, Polsce, Rumunii, Rosji, Hiszpanii, Szwecji, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii, USA, Jugosławii.

Przewodniczącym IHF jest Bjrn Elmquist, Sekretarzem Generalnym - Gerald Nagler, Dyrektorem Wykonawczym - Yadja Zeltman.

Adres IHF (International Helsinki Federation for Human Rights):

Rummelhardtgasse 2/18
A-1090 Vienna, Austria
Tel. (+431)402 73 87, (+431)408 88 22
Fax: (+431)408 74 44

Witaj, wiosno...

Fot. **Bronisława Kondratowicz**

SYTUACJA MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH PRZEZ PRYZMAT KOMITETÓW HELSIŃSKICH

W dniach 12 - 17 grudnia 1991 r. delegacja w składzie doktora prawa i sztuki Margaret Kępińskiej Jakobsen, adwokata Grana Luterkorta i prof. Erika Siesby, reprezentująca duński i szwedzki - Komitety Helsińskie, odwiedziła Polskę i Litwę. Podczas wizyty zapoznała się ona z sytuacją mniejszości litewskiej w Polsce i polskiej na Litwie. Inicjatywa poznania problemu na miejscu wynikła podczas sympozjum praw człowieka i mniejszości narodowych, które było zorganizowane przez Radę Nordycką w październiku 1991 r. w Hasselby Castle niedaleko Stokholmu. Rada Nordycja częściowo też finansowała ten wyjazd.

W Polsce i na Litwie delegacja odbyła szereg spotkań z przedstawicielami obu mniejszości, z członkami parlamentów, innymi wpływowymi osobistościami życia politycznego.

W toku tych spotkań zapoznano się z konkretnym rozwojem wydarzeń, rozpatrzono akty prawne, przestudiowano posunięcia władz, jak też pełny wykaz pretensji obu mniejszości, działalność ich organizacji w obronie praw mniejszości narodowych. Uwzględniono też międzypaństwowe stosunki Litwy z Polską.

W wyniku wizyty został sporządzony szczegółowy raport, który zawiera m. in. następujące sugestie dla obu krajów.

POLSKA: 1. w celu uniknięcia dyskryminacji, szczególnie przy zatrudnieniu, w kwestionariuszach osobowych należałoby unikać pytania o "narodowość", którego treść różni się od pojęcia "obywatelstwo";

2. w samorządzie Suwałk również Litwini powinni by być zatrudnieni jako kierownicy w kuratorium szkolnym;

3. w urzędach publicznych personel oraz petenci powinni by swobodnie używać języka mniejszości w rozmowach prywatnych, takie same przysługuje w kontaktach zespołów szpitalnych z pacjentami litewskimi;

4. nazwiska Litwinów należałoby pisać zgodnie z tradycyjną dla nich pisownią. Napisy nazw ulic i miejscowości w miejscach zwartego zamieszkania przez Litwinów powinny by brzmieć po-polsku i po-litewsku (Puńsk, Sejny, Szypliszki);

5. uwzględniona też powinna by być sytuacja finansowa Litewskiego Ośrodka Kulturalnego w Puńsku.

LITWA: 1. w celu rozwiania obaw Litwy względem ewentualnych roszczeń Polski co do Wileńszczyzny istniałaby potrzeba, aby wyraźnie w tej sprawie wypowiedział parlament RP, by zatwierdził dwustronną, podpisaną przez ministrów spraw zagranicznych deklarację;

2. wybory do władz samorządowych w rejonach wileńskim i solecznickim powinny by się odbyć jak najszybciej;

3. dyskryminacyjne zwalnianie z pracy ludzi należałoby rozwiązywać przez neutralny urząd albo przez rzecznika praw obywatelskich (ombudsmana);

4. wszelkie plany dotyczące sytuacji demograficznej na Wileńszczyźnie, włączając nowy podział administracyjny, należałoby wycofać.

W swym raporcie delegacja podkreśliła, że problemy, związane z mniejszościami narodowościowymi mają być rozwiązywane zgodnie z następującymi zasadami IV rozdziału dokumentu końcowego Konferencji Kopenhaskiej KBWE w sprawie wymiany ludzkiego w czerwcu 1990 r.:

p. 33 państwa będą chroniły tożsamość etniczną mniejszości i tworzyły warunki do umacniania ich tożsamości;

p. 35 będą szanować prawo do ich skutecznego uczestnictwa w sprawach publicznych.

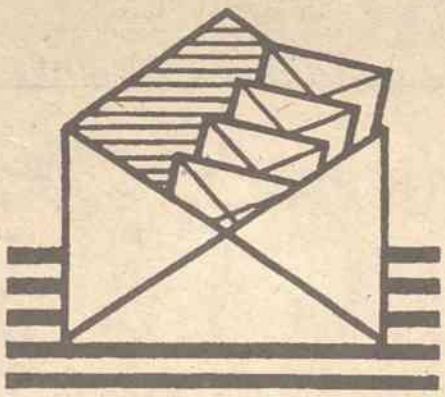

Szanowny Panie Redaktorze

W końcu zeszłego roku nadesłano mi kilka numerów dwutygodnika "Znad Wilii". Serdecznie dziękuję nieznanym Przyjaciołom. Czasopismo czytam z wielką ciekawością, niekiedy - ze wzruszeniem. Czasem wydaje się mi, że jestem na brzegu ukochanej rzeki (kiedyś pracowałem w Wilejce na Białorusi) i wędruję w przestrzeni i czasie...

Przezornie chowam numery "Znad Wilii". Składam ukłon całemu Zespołowi, a szczególnie dla Pani (czy Panny), której uprzejma rączka starannie napisała na wielkich kopertach mój daleki adres.

Z poważaniem -

G. Samsonow
Krasnojarski Kraj, Tichoreck

Czekamy na pismo

Cieszymy się, iż Redakcja dzięki Funduszowi im. Prezydenta Raczyńskiego pozyskała możliwość dodatkowej prenumeraty pisma. O ile to możliwe, zgłaszam swój akces. Obiecuję, że "Znad Wilii" będę czytał nie tylko sam, lecz przekażę je dalej.

Z szacunkiem -

Aleksander Siemionow
Lida, Białoruś

Pochodzę z rodu kupców wileńskich

Piszę z nadzieją, że wkrótce będę mogła odnaleźć się znowu w Wilnie. Jestem potomkiem bardzo bogatej rodziny kupców wileńskich o nazwisku Kietz i Moenke. Jestem spokrewniona również z Mołodeckimi. Może ktoś z nich ocalał? Może są ludzie, którzy pamiętają moich dziadków? Mieszkali w pięknej neoklasycystycznej willi przy ul. J. Słowackiego 15. Chciałabym pomóc materialnie w konserwacji tej budowli, jak też nawiązać kontakt w tej sprawie z zarządem miasta, aby wyraził swą zgodę na taki rodzaj pomocy. Może do czasu mojego przyjazdu w kwietniu ktoś odezwie się z mych krewnych lub znajomych?

Nie mam pojęcia, jak teraz wygląda życie w Wilnie. U nas - swoboda, nie mamy żadnych obaw przed cudzoziemcami. Radom jest podobnie jak Wilno miastem św. Kazimierza. Tego samego Jagiellończyka.

Krystyna Wiśniewska
Radom, Polska

Redakcja w roli swatki?

Od dawna marzyłem zobaczyć Wilno, ale czasy, w jakich żyliśmy, raczej nie sprzyjały realizacji tych zamierzeń. Bawiąc w kraju ze zdziwieniem spotkałem Wasze pismo i stąd ten list. Pragnąłbym nawiązać kontakt z panią w wieku lat 20-30, stanu wolnego, o wysokiej kulturze osobistej i prezencji w celach towarzyskich. Nie wykluczam dalszych miłych konsekwencji, zaś Pan Redaktor może zostać pozwany w drużby. W najbliższym czasie chciałbym odwiedzić Wilno, w zamian wystosuję zaproszenie do Szwecji, gdzie mieszkam od 20 lat. Mile widziana fotografia, na żądanie do zwrotu.

Redakcji życzę dużo szczęścia, zdrowia oraz powodzenia w Jej dalszym rozwoju.

Z wyrazami serdeczności -

Marian Toplak
Helsingborg, Szwecja

"Znad Wilii": Zainteresowanych tą propozycją prosimy zwracać się do redakcji.

Pragnę korespondować

Mam 25 lat. Jestem szczupłym, wysokim szatynem. Bardzo chciałbym nawiązać korespondencyjną przyjaźń z rówieśnikiem - Polakiem lub Litwinem, zamieszkałym na stałe w kraju Giedymina. Chodzi o osobę, znającą język polski.

Posiadam szeroki wachlarz zainteresowań - geografia, biologia, przyroda, historia. Zbieram też znaczki pocztowe.

Jestem romantykiem spod znaku Skorpiona. Lubię spacery przy zachodzie słońca, estetykę i piękno. Mieszkam w małej wiosce. Obecnie jestem bezrobotnym, poszukującym pracy.

Zbigniew Woźniak
Myców 8/1
22-543 Chłopiatyn, woj. Zamość, Polska

Informujemy, że wszelkie z Polski ogłoszenia i reklamy przyjmujemy pod adresami:
31-539 Kraków
ul. Kotlarska 10/5
tel. 21-56-83

10-445 Olsztyn, ul. Kołobrzeska 13H/91
albo 10-001 Olsztyn box 17
godz. 8.00-15.00 tel. 27-30-87
po godz. 16.00 tel. 33-13-79

INFORMACJE • INFORMACJE •INFORMACJE

• 1 marca przybył na Litwę arcybiskup wileński Audrys Juozas Bačkis, były pronuncjusz Stolicy Apostolskiej w Holandii.

• Vytautas Landsbergis został zgłoszony jako kandydat do Nagrody Praw Człowieka Europy. Przywódca litewski ostatnio przebywał w Monaco, Niemczech, Japonii.

• 28 lutego w Warszawie minister gospodarki RL Albertas Šimėnas oraz minister współpracy z zagranicą RP Adam Glapiński podpisali umowę o współpracy handlowej i gospodarczej.

• W Nowej Wilejce nie odbyły się wybory uzupełniające do Rady Najwyższej RL: żaden z czterech kandydatów nie zdobył wymaganej liczby głosów, do urn przyszło zaledwie 39 proc. wyborców.

• 3 marca 36 pojazdów wojskowych b. ZSRR wycofało się z Litwy. Odjechało 103 oficerów i żołnierzy dywizjonu rakiet przeciwlotniczych. Na "czas nieokreślony" pozostawili oni swe rodziny, niejasny jest status pozostawionych terenów w Mickunach, które nadal patronują wojskowi. Na Litwie pozostaje ich co najmniej 35 tys.

• 29 lutego w Wilnie odbył się zjazd założycielski Wspólnoty Litwy Wschodniej. Prezesem został Augustinas Liepinis. Spośród 35 organizacji do Wspólnoty zgłosiło się także polskie Stowarzyszenie św. Zyty. Do struktur zarządzających weszli głównie ludzie znani z działalności na Wileńszczyźnie. Prawda, nie zawsze akceptowanej przez jej wszystkich mieszkańców.

• 28 lutego - 2 marca w Wiedniu na międzynarodowym sympozjum na temat strategii utrwalania praw człowieka w tworzących się demokracjach Europy Środkowo-Wschodniej uczestniczył deputowany do RN RL Czesław Okińczyc.

• Według koncepcji "pierwszoplanowej rozbudowy" miast litewskich z jednoczesnym przydziałem im"terenów rezerwowych" jednym skokiem znajdziemy się w gronie państw wielkomiejskich. Wilno z 558 km kw. obszaru wyprzedzi m. in. Budapeszt (525), Sztokholm (457), Warszawę (446), Rzym łącznie z Watykanem (209), Paryż (105). Inne metropolie litewskie też zajmą poczesne miejsca: Druskienniki, które raptem wyskoczyły z lasu (472!), Kowno (264), Kłajpeda (158), Szawle (155 km kw.).

• Najwięcej z tego korzyści będą mieli biurokraci, gdyż zaczną parcelować ziemie (już za prawdziwe pieniądze), które zakazano zwrotowi prawowitym właścicielom.

• Ośrodek rejonu ignalińskiego Sniečkus zmienił swą nazwę. Na życzenie mieszkańców osiedle energetyków atomowych nazywa się Visaginas, od nazwy byłej wioski i jeziora.

• Przypuszcza się, że w kwietniu na Litwie będzie 200 tys. bezrobotnych. Zagrożenie to dotyczyć będzie przede wszystkim pracowników umysłowych. Około 80 proc. bezrobotnych już dziś stanowią kobiety.

• Do Szwecji wyeksportowano pierwszą partię bekonów litewskich. Dostawy wyniosły 125 ton.

• Drogą morską poprzez Kłajpedę, już bez pośrednictwa Moskwy dostarczana jest poczta Litwy do Niemiec.

• Pracownicy kilku instytucji wileńskich wystąpili z protestem przeciwko przywróceniu części ul. Mindaugasa (Mendoga) dawnej nazwy Juliusza Słowackiego. Są oni zdania, że imieniem poety można nazwać inną ulicę "bez poniżania twórcy państwa litewskiego".

• Ukazał się w nakładzie 30 tys. (wyd. "Mokslas") nowy słownik litewsko-polski, zawierający 50 tys. słów. Autorami są: Algis Kalėda, Barbara Kalėdovienė oraz Maria Niedźwiedzka.

• We wsi Kompocie pod Puńskiem w Polsce stanie obelisk dla uczczenia 70. rocznicy odzyskania niepodległości przez Litwę.

• W czasie tegorocznego Kiermaszu Kaziukowego w Wilnie palmy kosztowały od 20 do 500 rubli.

S.A. "ATSPINDYS"
poszukuje w Polsce partnera do współpracy w dziedzinie produkcji wyrobów z drewna i masy plastycznej.
Oferuje samochodowe trójkąty ostrzegawcze.
Adres: Litwa, Utena, Taikos 84-6
tel. (239) 54679

NIE CHCEMY DOPUŚCIĆ DO TEGO, ABY ROSJI NIE BYŁO

Słowa te wypowiedziane po polsku tchną niepokojem o losy kraju rozległego od Petersburga do Pacyfiku i energią człowieka odpowiedzialnego za te losy. To mówi pani Teresa Piekarska, deputowana do Rady Najwyższej Rosyjskiej Federacji, sekretarz komisji ochrony zdrowia w tym parlamencie.

Urodziła się na Wileńszczyźnie tuż przed wojną. Daleko od Moskwy Brasław i majątek Pustoszki, którego na mapie się nie znajdzie teraz - tak daleko, jak tamte lata od dni dzisiejszych są odległe. Ten przedwojenny zakątek województwa wileńskiego po wojnie stał się częścią obwodu witebskiego, Białorusią. Trudne były te lata powojenne, straszne. Przyłączenie do ZSRR spowodowało repatriację Polaków z tych terenów. Repatriacja oznacza powrót do ojczyzny, ale jakiż tu mógł być powrót - z ojczyzny do ojczyzny i przymusowy? Ze łzami jechała w nieznane najbliższa rodzina, porzucali najdroższe strony rodzinne, groby przodków, domy własne. Jak na wygnanie jechali. Bo na tych, kto chciał zostać, dalsza wędrówka czekała na Syberię, do stepów Kazachstanu. Ojciec pani Teresy, Kazimierz Wojtkiewicz, zaryzykował i został w swoich Pustoszkach, powiedział, że chce przy grobach rodziców w ziemi ojczystej leżeć. Wiedział, że może pójść za to na Sybir, ale licho ominęło jego dom. Tyle że nazwa majątku nabrała proroczego sensu, opustoszało w Pustoszkach, kiedy rodzeństwo ze swoimi dziećmi do PRL wyjechało. Tylko rodzina pana Kazimierza została, a dzieci jego, dorastając, do ruskiej szkoły zmuszone były pójść.

Pani Teresa wspomina z miłym uśmiechem, jak to nauczycielka w szkole wyrzucała jej: "Taka ładna dziewczynka a taka głupia, nic po rosyjsku nie rozumie". Bo i nie rozumiała. Ani słowa. Bo niby i skąd miała go umieć mieszkając w swoim kraju.

Ukończywszy 16 lat nie mogła dowodu osobistego otrzymać, czuła się Polką i chciała, żeby to w nim figurowało. Urzędnik był uparty, miał swoje przepisy, mówił: "Nie ma tu Polaków. Jesteś Białorusinką". Ale twardo stała przy swoim: "Polką jestem!" Rok trwały te zmagania z przepisami, w końcu wzięła od rodziców ich metryki i na milicję zaniosła, pokazała, że jej rodzice są Polakami. Zwyciężyła i otrzymała swój dowód osobisty z wpisem narodowości, że jest Polką. Młodsze brat i siostra już takiej wytrwałości nie wykazali, zostali więc formalnie Białorusinami.

Potem była szkoła medyczna w Daugawpilsie na Łotwie, zamęście, wyjazd na Daleki Wschód, na Syberię. Sama tam pojechała - z własnej woli. Teraz mieszka z rodziną w Samarze.

Trudno uwierzyć słuchając pięknej polszczyzny pani Teresy, że był taki okres w jej życiu, kiedy mieszkając od lat wśród Rosjan zaczęła mowę ojczystą zapominać, myślała, że słowa już po polsku nigdy nie powie. Los ją z Rosją związał, pokochała ten kraj i za ojczyznę uznała. Ale los też przywiódł panią Teresę do Częstochowy, dokąd została zaproszona z grupą lekarzy polskiego pochodzenia. Wzruszona była bardzo na tej pielgrzymce, piękne chwile przeżyła i język ojczysty się przypomniał, sięgnęła do podręczników języka polskiego. Teraz młodsza wnuczka pani Teresy, sześcioletnia Ina, lubi ten gruby podręcznik wertować, przyjechała do babci na wakacje z Samary, ale nie wygląda pani Teresa na babcię, gdyby nie powiedziała, pomyślałabym, że Ina jest jej dopiero córeczką.

W urzędowym - na okres kadencji - moskiewskim mieszkaniu pani Teresy jest po domowemu przytulnie: ręcznie haftowana serwetka na stole, krucyfiks na ścianie w sypialni, obok na półce modlitewnik. Książeczkę tę, wydrukowaną po polsku jeszcze przed rewolucją, przyniósł pani Teresie jeden z jej wyborców, chował to jako pamiątkę rodzinną, ale pomyślał, że bardziej się przyda deputowanej, która po polsku czyta i może z tej książeczki się modlić. Znają ją ludzie, szanują, ufają jej.

Swój sukces na wyborach do Parlamentu pani Teresa ocenia skromnie, mówi, że wielu lekarzy i nauczycieli wygrało, bo ludzie nie chcieli już za partyjnych funkcjonariuszy głosować. Upłynęło już półtorej roku kadencji. Jakie były? Trudne. Kraj zrujnowany, zamieszkały przez ludzi nie wierzących w nic, ani w Boga, ani w ateizm, kraj bez prawa. Trudno siedzieć od rana do nocy w parlamencie, pracując nad nowym ustawodawstwem, a potem obserwować z jakim oporem to wchodzi w życie, jak blokuje się to na dole, co czynią to ci sami partyjni funkcjonariusze, którzy wciąż tam siedzą. A zmiany przecież są tak bardzo potrzebne! Szczególnie dużo pracy w lecznictwie, gdzie też obok braku nowoczesnego prawa się odczuwa brak nowoczesnych szpitali, aparatury, leków, wreszcie lekarzy, którym tak trudno pracować za marne grosze. Te wszystkie problematy zna pani Teresa z życia, i z własnej pryktyki.

Oprócz tej pracy są i inne obowiązki. Biały Dom w Moskwie, gdzie urzęduje parlament, jest jak wyspa, o którą biją fale ludzkich trosk i nieszczęść. Zawsze coś się dzieje przed gmachem, raz po raz ktoś tu przychodzi z plakatem upominać się o swoje, stać w pikietach. Trzeba więc każdą sprawę uwzględnić, naprawić co się da, nieraz nawet pochopną decyzję rządu poprawić, nie bojąc się temu przeciwstawić. Istnieje więc jakaś już demokracja, przynajmniej jej zalążek.

W sierpniu ubiegłego roku podczas nieszczęsnej pamięci puczu była pani Teresa na parlamencie przez całe te dni grozy i niepokoju. Teraz mówi się, że pucz był nieprawdziwy, nie na serio, ale pani Teresa dobrze pa-mięta warkot silników jednak prawdziwych czołgów, otaczających Biały Dom, i ludzi, którzy rzucali się pod gąsienice... "To było straszne!" - mówi. Ale i momenty w parlamencie niezapomniane, to poczucie wolności.

Trudno rządzić tak rozległym krajem, szczególnie kiedy rwie się w ręku, coraz nowe republiki i narody chcą autonomii, niezależności. Może i łatwiej byłoby rządzić krajem mniejszym, ale taki już kraj powierzono im, deputowanym parlamentu, wybranym w pierwszych wolnych wyborach.

Pani Teresa Piekarska pragnie widzieć Rosję wolnym, bogatym i szczęśliwym krajem, krajem nie zagrażającym nikomu. Pomyślności więc Polce - posłance w rosyjskim parlamencie.

Grażyna Tatiana Szyszowa
Moskwa, Rosja

Owocny okres stosunków między naszymi narodami rozpocznie się wtedy, gdy Polacy spojrzą na Litwinów jako na dobrych sąsiadów, nie zaś kuzynów czy nawet braci...

POTRZEBA ASYMETRII

Ze Stasysem Lozoraitisem, ambasadorem RL w USA, pełnomocnikiem RL w Watykanie rozmawia Romuald Mieczkowski

- Prócz sprawowanych funckji pozyskał Pan liczne tytuły, w tym honoris causa Uniwersytetu Witolda Wielkiego. Nagrodzono Pana odznaczeniami państwowymi. Wszystko to jest dowodem uznania i podzięki za działalność, którą Pan prowadził zawsze dla Litwy.

- Kiedy byłem członkiem małej grupy, która walczyła o niepodległość, na nas nikt nie zwracał uwagi. Teraz, gdy jestem ambasadorem, i jest z dziesięć tysięcy innych działaczy, stałem się obiektem godnym respektu.

- Słyszałem, a opowiadała również o tym i Pani Wanda Gawrońska z Rzymu, że wysłał Pan co najmniej z tonę różnych publikacji na Litwę.

- O, tyle to chyba się nie zebrało. Ale przesyłek rzeczywiście było bardzo dużo. Sporo też ich wysłałem dzięki pomocy Pani Wandy, która działa bardzo energicznie. Starałem się książki dostarczać na Litwę wszelkimi drogami. Również przez ludzi. Ale nie każdy miał możliwość przewozu tych książek. Tym niemniej na Litwę trafiły pozycje o charakterze religijnym, historycznym, z literatury amerykańskiej. Oczywiście klasyka, wysyłałem pisarzy tej miary co Camus. Byliśmy więc tymi słynnymi litewskimi roznosicielami książek.

- Były i inne więzi z Litwą?

- Zawsze. Choć kontakty te były utrudnione. Kiedy przyjeżdżali młodzi ludzie na Zachód, spotykaliśmy się, żeby porozmawiać. Opowiadali oni o wielu rzeczach. Z kolei staraliśmy się ich "przygotować" przed powrotem na Litwę. Rozmowa dotyczyła zazwyczaj historycznego aspektu, zagadnień demokracji. Przez cały czas mój ojciec i cała rodzina żyliśmy w kręgu tych spraw. Chłonęliśmy wszystko, co dotyczyło również dnia ówczesnego na Litwie. Wiedzieliśmy nawet, ile posiada kombajnów, traktorów, taksówek...

- Czy tęsknota do kraju nie powoduje pewnej idealizacji stron ojczystych?

- Dla mnie nie był to kraj marzeń. Choć może tylko w tym sensie, że bardzo często myślałem, jakiej chciałbym Litwy w przyszłości. Myślę, że to jest najważniejsza kwestia i dzisiaj. Przyszliśmy do kolejnego stulecia i powinniśmy o wielu sprawach z przeszłości zapomnieć. Zmienić mentalność. Zacząć myśleć inaczej. Powinny zmienić się też nasze stosunki z sąsiadami, objąć znaczniejszy zakres. Powinniśmy zbudować państwowość, która byłaby praworządna, stałaby się matką dla wszystkich. Inne zachowanie jest zgubne. Nie wiem, czy nie powiem za dużo, jeśli stwierdzę, że naprawdę byłoby tragicznie, gdybyśmy nie potrafili stworzyć państwa czcigodnego. W całym sensie tego słowa. W tym dążeniu jestem bezwzględny wobec siebie i innych. Musimy iść do przodu, patrzeć szeroko. Rozumiem doskonale i chylę czoła przed tymi, którzy cierpieli i siebie złożyli w ofierze, ale nie należy ciągle rozpamiętywać przeszłości.

- Tym bardziej, że skończył się "deklaracyjny etap" działalności - niepodległość została wywalczona. Dużo mówi się o demokracji, natomiast młode jej pędy łamane są na każdym kroku, obserwacja życia politycznego też nie napawa zbytnio optymizmem.

- Trudno byłoby mieć nadzieję, że będzie inaczej. W końcu demokracja jest najtrudniejszą formą sprawowania państwowości. Potrzeba trolerancji, wyrozumiałości, wprost świętej cierpliwości. Mówiąc górnolotnie - trzeba wziąć się za ręce i razem iść - inaczej nic z tego. Należy nie tylko pisać uchwały, je uchwalać, ale umieć też uszanować niepisane normy. Zaczynając od uprzejmości na co dzień w każdej dziedzinie. Od *fair play* - jak mówią Anglicy. Inaczej demokracja zwiędnie niczym zerwany kwiatek. Jasne, że tego wszystkiego w ciągu krótkiego czasu nie da się zrobić. Na dobre upłynęło z pół roku, od kiedy zaczęliśmy decydować o sobie. Trzeba wszystko robić, żeby demokracja się umacniała. Nie daj Boże, żeby wstrzymana została ta praca. Tu, w Polsce czy jeszcze gdzieś. Wszak przemiany objęły obszary od Morza Bałtyckiego po Ocean Spokojny. Dla nas bardzo ważnym zagadnieniem jest, żeby wszędzie w tym regionie były one owocne. Niech powstają bogate demokracje. Nie można zapomnieć o innych krajach. Na proces ten patrzę jak na cud - nie ma Związku Sowieckiego, nie ma czerwonego sztandaru, Kremla - ale żeby wprowadzić przemiany, trzeba wiele pracować. Również na Zachodzie. A Zachód wciąż mało robi w tej dziedzinie.

- Do problemów natury politycznej, ekonomicznej i innych trzeba odnieść dodatkowo nieporozumienia w kształtowaniu stosunków narodowościowych. Choć są one charakterystyczne dla niemal wszystkich wyzwolonych krajów, to przecież najwięcej zależy od nas.

- Stosunki polsko - litewskie nie są dobre. Ja i nie oczekiwałem, że takimi będą. To jest historia wielu wieków, którą tak nagle nie da się zmienić. Niestety, posiadamy taką cechę - a przede wszystkim patrzę na siebie i siebie winię - że nie potrafimy zapomnieć pewnych rzeczy. Wciąż je przypominamy i powtarzamy. Tu też nie wolno się zatrzymać w izolacji. Zawsze powtarzam, że stosunki Litwy z Polską mają być priorytetowe. Na to składa się wiele przyczyn. Żeby je zmienić, trzeba zacząć od świadomości. Wykształcić pogląd, iż z sąsiadami należy żyć w zgodzie. Tym bardziej, że wszyscy chcemy należeć do wspólnoty narodów europejskich. Jak Polska, tak i my. Trzeba uszanować siebie wzajemnie.

- Tym słowom zapewne nikt nie zaprzeczy. Ale jak to zrobić?

- Nie jest to zadanie łatwe. Mamy w Rzymie grupę Polaków i Litwinów, którzy wiele dyskutują między sobą. W swoim czasie przygotowaliśmy apel do obu narodów. Myślę, że podobne ugrupowania powinny i dalej działać. Istnieć nie na Litwie czy w Polsce, ale właśnie w Rzymie, gdzie panuje "neutralna atmosfera", dzięki też obecności papieża. Tu powinni spotykać się ludzie posiadający pewien poziom intelektualny i mający wpływy na społeczeństwo. Mają ze sobą mówić o wszystkim, niczego nie ukrywając. Powiedzieć otwarcie, co nas boli. Oczywiście, skierować swój wysiłek, aby naprawić zaistniałą sytuację.

- Wydaje się, należałoby inaczej też spojrzeć na nasz wspólny szlak historyczny, nie spisywać tendencyjnie wszystkiego - jako zło dla Litwy. Dziś mamy do czynienia z dwoma suwerennymi krajami, w dodatku z sąsiadami o podobnym losie i ustroju.

- Na pewno tak. Mój ojciec świetnie znał polski, poznał historię Rzeczypospolitej. W czasie rozmowy na ten temat pewnego razu mi powiedział, że nowy owocny okres stosunków między naszymi krajami rozpocznie się wtedy, gdy Polacy spojrzą na Litwinów jako na dobrych sąsiadów, nie zaś kuzynów czy nawet braci... Uważam, że ze strony psychologicznej bardzo trafnie to określił. Analizując przyczyny takiego zachowania się mych rodaków, należy powiedzieć, że Litwinów wyprowadza z równowagi właśnie to, że na nas nie patrzy się jako na sąsiadów i partnerów. Z tamtej strony jest miłość, z naszej - strach. I domysły, co oznacza ta miłość. W ten sposób dotarliśmy do kwintesencji. W naszych stosunkach ma być wprowadzona podstawa asytetryczna. Nie można regulować równo stosunków między narodem liczącym około 4 milionów mieszkańców i państwem dziesięciokrotnie większym. Koncesja, którą Polska zrobiła na Litwie, to jest jedna sprawa. Nasze ustępstwa trzeba byłoby faktycznie podzielić przez dziesięć. Nie chodzi tu o cyfrę, lecz o zastosowanie asymetrii. Dlatego dla nas polski uniwersytet w Wilnie posiada jedną wagę, litewski w Warszawie - załóżmy że taki powstanie - będzie miał inną wagę. Jeśli to zrozumiemy, wydaje się, będzie łatwiej dogadać się.

- Mówiliśmy wciąż o międzypaństwowych stosunkach polsko - litewskich. Dodatkowo "komplikują" sprawę Polacy mieszkający na Litwie, którzy domagają się respektowania ich woli na ziemiach, na których mieszkają z dziada - pradziada.

- Jeśli dążymy do państwa demokratycznego, to mniejszości narodowe powinny mieć gwarancje żyć tymi prawami, które dziś stały się międzynarodowymi. Regulują je bardzo różne ustawy i dokumenty. Tego nie trzeba wyjaśniać. Społeczeństwo posiada jednak różne warstwy - u nas są ekstremiści. W Polsce też. Patrzą oni właśnie na przeszłość, a w swych celach wykorzystują również mniejszości narodowe. To komplikuje rzeczywiście sprawę. Popełniamy również błędy. Nawet gdybyśmy posiadali najlepsze ustawodawstwo - od razu wielu spraw nie rozwiąże się. A przecież istnieje paląca potrzeba wprowadzenia w naszej państwowości praworządnych struktur. Żebyśmy już posiadali konstytucję i wszyscy jasno uświadamiali swe prawa i obowiązki. Gdy to wszystko uporządkujemy, nastąpią potrzebujące psychologicznego podejścia przemiany. Wiele jest do zdziałania też na niwie kultury, uwzględniając w tym wkład mniejszości. Niebezpieczną sprawą jest to, kiedy jeden drugiego nie zna. Poza tym, kiedy podniesie się poziom gospodarki, kiedy wszyscy przekonają się, że mogą wejść do tego samego kręgu jako pełnoprawni obywatele - jestem pewien, że wiele problemów łatwiej będzie rozwiązywać.

- To trochę potrwa. Obecnie zaś dzieli nas zamiast łączyć punkt widzenia i na Wilno, na jego spuściznę.

- Od najdawniejszych czasów kultura tu była różnorodna. Właśnie niedawno miałem spotkanie ze społeczeństwem żydowskim. Nie będę przypominał, jaki udział w tym mieście miała ich kultura. Myślę, że wielokulturowość miała wielki wpływ na kształtowanie się miasta. Ileż indywidualności wyszło z Wilna, jeśli chodzi o spuściznę kulturalną Polaków! Nie możemy pominąć i Białorusinów. Kiedy będziemy "mocnymi Litwinami" przepadnie kompleks niższości. Różnorodność Wilna, jeśli patrzeć w przyszłość, na wiek XXI jest niezwykle atrakcyjna. To nasza mocna karta. Nawet z ekonomicznego punktu widzenia, co podkreślam przede wszystkim dla cyników. Nie muszę tłumaczyć, iż poprzez turystykę kontakty się znacznie ożywią, wzmoże się ruch przygraniczny. I nie tylko. Wygrają i ci, którzy innych celów, prócz zarabiania pieniędzy nie stawiają. Dlatego Litwini w sensie kulturalnym muszą być bardzo silni. O ile nie unikną zagrożenia - pozostanie ksenofobiczna reakcja wobec "obcych". To było już naszym największym dramatem w latach międzywojennych.

- Stąd może i wynika polityka oparta na przyzwoleniu i dzieleniu, jak to było w niedalekiej przeszłości: to damy, a tego nie zezwolimy. Nadal "góra" decyduje o tym, co niezbędne dla "dołów". W tym wypadku dotyczy to również i mniejszości narodowych.

- Tych rzeczy nie zawsze da się skontrolować. Wolność przynosi również i konkurencję. Powiedzmy, Polacy chcą otworzyć swoje biuro informacyjne czy księgarnię. Nie uważam, że możemy tego zabronić. Podobnie niech otwierają teatr, inne placówki, jeśli tylko mogą. Jeśli Litwini nie potrafią tego zrobić, a są w stanie dokonać tego, na przykład, Białorusini, to my przegrywamy. Ja o tym na Litwie niejednokrotnie mówiłem, że regulować kulturę, zastanawiać się - dać czy nie dać pieniędzy na realizację jakiegoś zamierzenia jest rzeczą niezwykle niebezpieczną. Finansowanie związane jest z dyktowaniem, co mają pisać pisarze, czynić inni. To właśnie robili Sowieci. Skrajną pozycją jest też kompletny brak troski. Ale przecież istnieje i jakiś "złoty środek". Jestem za tym, by kulturze jeno wskazać kierunek, informując, na co rząd posiada środki. Ale nic poza tym. Naród realizuje swe potrzeby kulturalne tak, jak je sam czuje. Przecież poeta nie usłucha głosu:" Prosimy nie pisać o Polakach w Wilnie, bo to nie jest zgodne z naszymi cechymi narodowymi".

- Spędził Pan ponad pół wieku na emigracji. To znaczny okres, by poznać, jak funkcjonują rożne społeczeństwa w Europie, jak też za oceanem.

- Ameryka jest krajem ugruntowanej, mocnej demokracji. W Waszyngtonie widziałem ludzi z Nikaragui defilujących z czerwonymi sztandarami. Nikomu to nie przeszkadzało. A przecież ci ludzie mieszkają w USA. W wolnym kraju każdy człowiek ma prawo wypowiadać swe poglądy. Co można powiedzieć na temat naszych wypaczeń? Trzeba walczyć o swoje prawa. Całe życie usiłowałem wmówić, iż mylą się ci, którzy nie wierzyli w walkę narodu litewskiego za niepodległość. Jakże często mówiono mi: czy można walczyć z olbrzymem, przecież są to iluzje! Czas wykazał co innego.

- Proszę powiedzieć, jak układają się stosunki między Litwinami i Polakami na emigracji?

- Dobrze. Szczególnie we Włoszech. Byłem niezwykle zadowolony, że na Ojca Świętego wybrano właśnie Wojtyłę. Dotychczas żaden papież nie pozdrowił nas po litewsku, prócz Jana Pawła II. Kiedy byłem w Ameryce, opowiadając o tym w Zakonie Franciszkanów, usłyszałem: "Polak wszystko jedno pozostaje Polakiem". Wiadomo, że to pewien stereotyp. Mówiła to osoba starsza. Nowa generacja na te sprawy na emigracji zupełnie inaczej patrzy. Czy możemy wyjść z tego impasu? Na pewno. Trzeba działać bez względu na trudności. Miał je mój ojciec, który zawsze wypowiadał otwarcie swe sądy. Nie bał się w swoim czasie powiedzieć prezydentowi Smetonie, iż doszliśmy do bardzo niebezpiecznej granicy. Ale choć ryzykowaliśmy, Smetona jako przedstawiciel autorytatywnej dyktatury, nie śmiał zrobić czegoś przychylnego dla stosunków z Polakami. Z tamtego dołka, trwającego niejako do dziś musimy koniecznie wybrnąć. I wyjdziemy. Udowadniając, że możemy żyć razem.

- Miejmy nadzieję, że tak będzie. Dziękuję Panu Ambasadorowi za znalezienie czasu na rozmowę.

- Proszę pozdrowić Pańskich Czytelników. Dodać im otuchy. Przejściowy etap obfituje w nieporozumienia. XIX-wieczna mentalność walki o ziemię, żeby wznieść na niej twierdzę nie ma perspektywy. Nie ma u nas "nieomylnych". W parlamencie czy rządzie znalazły się również różne siły. Co zaś dotyczy stosunków polsko-litewskich, chcę podkreślić szczególnie, że mamy tylko wspólne interesy. Jest tu cały szereg ważnych i aktualnych dla obu stron spraw.

DAWNE, ZAPOMNIANE CNO

Adam Wierciński

Nie znosili dziedzictwa duchowego dawnej Rzeczypospolitej, miłościwie panujący na jej historycznych ziemiach, monarchowie z Petersburga, Wiednia i Berlina; ich oficjalni historycy rozpisywali się szeroko o braku zmysłu państwowotwórczego u Polaków, o anarchii, pokpiwali z sejmowładztwa, z udawanym zgorszeniem rozprawiali o znaczeniu kleru katolickiego i nierównościach stanowych przed rozbiorami (tzn. jak oficjalnie pisano: przed wzięciem pod łaskawą opiekę niewolonego i wyzyskiwanego przez polskich panów ludu...). Nie znosili urzędnicy nowych państw, ludzi wolnych nad Wisłą i Niemnem, było ich zbyt wielu jak na przyzwyczajenia nowych zarządców, w niektórych regionach, jeszcze w XIX wieku szlachta stanowiła kilkanaście procent ludności; całe wioszczyny (okolice i zaścianki) na Podlasiu, na Litwie historycznej, na Rusi Czerwonej, zamieszkiwał *demos* herbowy. Kokietowano czasem lud, ograniczano niegdysiejsze swobody szlacheckie, ludzi wolnych próbowano podporządkować państwu i Najjaśniejszym... Własnych poddanych straszono polską "zarazą". Ośmieszano tedy polskie dzieje, narzucano inne języki, budowano cerkwie nad Wisłą, niekiedy "zdobiono" też cebulastymi kopułami gotyckie i barokowe kościoły, wykpiwano obyczaje; jeden z ministrów marzył: *dogłupit' do naszego urownia.* Zwiększano sztucznie różnice między elitą a "ludem", i między ludami dawnej Rzeczypospolitej.

Raziła dawna Polska - cnót i grzechów pełna - zniewolone dusze, rodziła czasem wśród idealizujących wszechmoc państwa tyle tęsknot. I budziła podziw. Stąd jakże częste rozdwojenie, iluż pruskich, rosyjskich, a szczególnie austriackich urzędników czy oficerów fascynował kraj, do którego ich przysłano w określonej misji, fascynowali ludzie, którym tak długo obca była bałwochwalcza postawa wobec wszelkiej władzy. Z tych zauroczeń rodziło się z czasem szczere przejęcie się kulturą polską, jakże często synowie i wnuki tych przysłanych z daleka nie byli już traktowani jako "obcy" przybysze, stawali się współobywatelami, niekiedy i twórcami, stąd Polowie, Staffowie, Wolffowie, Braunowie, Brücknerowie, Szoberowie, Goetlowie, Adalbergowie, Machowie, Rittnerowie tak dobrze obecni w naszej kulturze. Syn Pohla stawał się Polem, Phau - Pawińskim, syn szlachcianki z Dunin-Wąsowiczów i Wirstleina - Wierzyńskim. A pani Baczyńska stawała się poetką litewską, wnuk powstańca Władysław Chodasiewicz, wyrósł na wybitnego poetę rosyjskiego, prawnuczka powstańców - Irena Ratuszyńska na poetessę. I dziś, z nazwisk wypisanych z książek telefonicznych Rygi, Kowna, Wilna, Mińska, Moskwy, Leningradu - Petersburga, Kijowa, Lwowa, Czerniowiec, Irkucka, Ałma Aty można ułożyć nową wersję herbarza Kaspra Niesieckiego... *Brzozowscy, Dobrowolscy, Górniccy, Dziewulscy, Biegańscy, Kleczkowscy, Łepkowscy, Dziewanowscy, Jasińscy, Rudniccy...*

Rzecz dziwna, po II wojnie światowej, niektóre partie podręczników szkolnych i akademickich, przypominały, o dziwo!, wywody historiografów i historiozofów zaborczych; potępiano własne dzieje, wmawiano, że państwo przez wieki prowadziło "niesłuszną politykę", przez wieki lokowało sympatie nie tam, gdzie powinno. Co gorsza, skazywano na zapomnienie tyle dzieł literackich, litanie nazwisk świetnie zapisanych w historii i kulturze znikały z podręczników, starano się po orwellowsku unieważnić naszą obecność poza "piastowskimi" i "jedynie sprawiedliwymi" granicami, przypisywano postaciom z przeszłości poglądy, o których tamci nigdy nie słyszeli; utrwalano zawzięcie stereotypy, przeciętny uczeń szkoły średniej wiedział o dawnej Polsce, że tam wzrastał przez wieki wyzysk chłopów, a szlachta piła...

Gorszą się dziś moraliści, że najnowsi emigranci z Polski tak szybko ulegają asymilacji w różnych krajach; mało kto pamięta, że "bagaż kulturalny", który oni wywożą, bywa przerażająco lekki. W tym samym czasie, kiedy obrzydzano własne dzieje, w pięknej książce Tadeusz Chrzanowski, historyk sztuki chodzący własnymi ścieżkami, pisał ze wzruszeniem: *Jak niefrasobliwa, nieprzewidująca, nieostrożna była tamta Rzplita! A równocześnie jak gościnna, jak zwyczajnie i wspaniale ludzka. Przygarniała tych, którym strony ojczyste za chude były czy za ciasne. Ta katolicka, kontrreformacyjna Rzplita królów - bigotów otwierała swe bramy obcojęzycznym innowiercom, nie tylko lutrom, ale jakimś tam nawet mennonitom, co nie wiadomo komu właściwie cześć oddawali, a nie tylko otwierała, ale ich do wspólnego dopuszczała stołu. Była karczmą zajezdną - jak powiadali jedni. Może i była, ale nade wszystko była domem rodzinnym dla tysięcy, którzy chcieli ją za ten dom uznać.*

T. Righi, "Miłość bliźniego

A Czesław Miłosz, zawsze daleki od narodowego samodurstwa, pisał za Wielką Wodą o staroszlacheckiej uczuciowości, której najmłodsze pokolenia, ahistoryczne częściowo, pozbawione zmysłu historycznego, wykorzenione z tradycji już chyba w pełni nie rozumieją. *Określić, czym ona jest* - tłumaczył - *niepodobna, a przecie poznajemy ją dotykalnie w wierszach Kochanowskiego, w kolędach, w »pieśniach i padwanach«, w sielankach baroku. I jeżeli szlacheckość stała się synonimem wszelkiego zła, dzieje się tak z krzywdą dla odwrotnej strony medalu, dla jakiejś miękkości, zacności, uprzejmości, która w dobrym okresie Rzeczypospolitej była sprzymierzeńcem wyznaniowej i językowej tolerancji. Taki też jest, nieuchwytny, a mimo to stale obecny, ton uczonej gawędy Vincenza i Hostowca, ton jakby dworny, przyjaznego i trochę z cicha pęk humoru.*

Dawne cnoty polskie próbował kiedyś nazwać Joseph Conrad, tak otwarty na wszystko co inne; Conrada uważał Bertrand Russell za idealnego nosiciela polskich cech szlacheckich, miał go za arystokratę ducha. Bolesław Miciński, wybitny i błyskotliwy eseista, jeszcze jeden szlachcic kresowy pięknie władający piórem, portretując w liście jednego ze swoich przyjaciół, pisał o wartościach wyniesionych ze ściślejszej ojczyzny, z podolskiego domu: *Wszystko inne było w Toniu przypadkowe i nieistotne - istotne były te cechy »porządności«, zasad, prostoty, dobroci, opanowanego sentymentalizmu. Tonio był człowiekiem, na którego można liczyć.*

xxx

Rozprawianie o cechach regionalnych czy narodowych bywa ciekawe, kiedy zajmują się tym ludzie otwarci na inność i nie pozbawieni poczucia humoru, ci, których stać również na ciepłą kpinę i ze swojej wspólnoty. Niezdolnym do dystansu wobec najbliższych grozi megalomania, wyobcowanie staje się udziałem tych, których związki ze społecznością bywają zbyt luźne. Niedobrą rolę w przybliżaniu przeszłości spełniła powojenna szkoła; podręczniki do nauki historii z lubością zajmowały się wszystkimi możliwymi grzechami dawnej Polski; zdaje się, że wszyscy znają przysłowie: *Za króla Sasa, jedz, pij i puszczaj pasa,* ale mało kto je rozumie: po wojnie północnej, po walkach o tron, było trochę spokoju w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, i ten okres - w porównaniu z latami późniejszymi, kiedy to za króla Stanisława Augusta Poniatowskiego obcy ambasadorowie tyle mieli do powiedzenia i majestat Rzplitej był postponowany - wydawał się idyllą, "dobrymi czasami", przysłowie o czasach saskich miało ten sam charakter, co wieloletnie wspominki współczesnych, o tym, jak to było przed wojną. Nawiasem: dopowiedzeniem, mniej znanym, do przysłowia *Za króla Sasa...*, były westchnienia chłopów ruskich: *Był Sas, było chleba z nas, Za Sasa było chleba i miasa, Nastau Poniatowski, uż chleb nie takouski.* Ale tych przysłów, mimo ogromnej sympatii autorów podręczników do wschodnich Słowian, w szkole nie nauczano.

Popularne były w niektórych kręgach żarty, że część powojennych opracowań historycznych przypomina niegdysiejsze, tendencyjne wywody historyków państw zaborczych. Dzieje polskie przedstawiały się w podręcznikach mniej więcej tak: wszystko (unia polsko-litewska, sejmowładztwo, swobody obywatelskie, promieniowanie kultury polskiej na wschód i południe, niechęć do władzy absolutnej, polityka dynastyczna, nie narodowa, narodowymi kategoriami jeszcze wtedy nie myślano, o czym "inżynierowie dusz" zapominali z premedytacją, społeczeństwo stanowe) prowadziło do rozbiorów..., szlachta piła i wyzyskiwała chłopów, potem wybuchały powstania, ale ponieważ wystąpienia zbrojne nie były należycie przygotowane, a przywódcy nie umieli wciągnąć chłopów do walki, więc ciągłe klęski, martyrologia, aż wreszcie wybuchła rewolucja (ta druga, oczywiście) w 1917 roku; i Polska dzięki niej uzyskała niepodległość, ale w jej granicach znalazły się również całkiem niepotrzebne jej stolice duchowe, niewdzięcznica myślała o Kijowie nawet, pomagała samozwańcom, szukała sojuszników nie tam, gdzie

OTY?

należało, i została po 20 latach napadnięta, nie skorzystała z pomocy, więc jej udzielono w odpowiednim czasie, potem okupacja, wyzwolenie, odbudowa i nareszcie wszystko "słuszne": sojusznicy, granice, ustrój, rozwój gospodarczy. Społeczeństwo, co prawda, nie zawsze dorastało do wszystkich tych słuszności, ale od czego edukacja wszechstronna przez niektórych uczonych i myślicieli nazywana indoktrynacją... i zniewoleniem umysłów.

A złoty wiek kultury polskiej, wiek srebrny; atrakcyjny model kulturalny i obyczajowy dawnej Rzeczypospolitej, swoisty demokratyzm, umiejętność współżycia tylu grup różnych - etnicznych i religijnych (konflikty były, to oczywiste, ale bez porównania mniej krwawe niż gdzie indziej, z dumą mówiono o "państwie bez stosów"), tyle zasad republikańskich obowiązujących w monarchii, szacunek dla jednostki (uprzywilejowanej, to oczywiste w społeczeństwie stanowym), służebna rola państwa, państwo dla ludzi, nie ludzie dla państwa, miejsce dla wielu małych ojczyzn w jednej, dla wielu języków, wszystko to się gdzieś pogubiło... Wychowany na okrojonych z pięknych kart podręcznikach, młody człowiek zachodził w głowę - jak ci opoje, niezdolni do działania, nie znoszący władzy, zbudowali te tam Wawele, Kazimierze, Sandomierze, *miłe miasto* i gród *semper fidelis*, skąd tyle ludzkiego ciepła w poezjach Kochanowskiego, tyle bólu istnienia w sonetach Sępa-Szarzyńskiego, miłości do Rzplitej w kazaniach Skargi, zwyczajności dobrej i ludzkiej w kolędach. I takie wspaniałe pożegnanie spraw małych i wielkich w "Panu Tadeuszu". Ale o tym myśleli tylko bardziej wnikliwi, czytali eseje Jasienicy i wysłużony podręcznik przedwojenny Ignacego Chrzanowskiego, reszcie wystarczały komunały szkolne, uproszczona wizja przeszłości. No tak... Poeta z gorzką ironią "radził":

Dumny z władzy nad ludźmi dawno minionymi
Zmieniaj przeszłość na własne, lepsze podobieństwo.
i
Kto mówi o historii jest zawsze bezpieczny.
Przeciwko niemu świadczyć nie wstaną umarli.

Nie douczonym imponowali często szydercy i prześmiewcy. Ale szyderstwo Witkacego i Gombrowicza było wspaniałe, oni szydzili po to, aby było normalnie, aby gęba przyprawiona nie zwalniała od myślenia. Ich naśladowcy zapominają o tym, gdyż uprawiają bunt pozorny.

A Józef Teodor Konrad Korzeniowski, wywodzący się z wołyńskich i podolskich powiatów szlachcic polski, wybitny pisarz angielski, znany szeroko jako Joseph Conrad, który w swoich powieściach próbował oddawać sprawiedliwość widzialnemu światu, raczej daleki od mitologii narodowej, dumny z tego, czym stał się dzięki uporowi i własnym zdolnościom (kapitan marynarki i pisarz angielski), pisał we wstępie do "A Personal Record" o dziedzictwie duchowym, spadku, któremu tyle zawdzięczał, o temperamencie polskim *z jego tradycją samorządu, z jego rycerskim poglądem na powściągliwość i przesadnym szacunkiem dla praw indywidualnych: nie mówiąc nawet o tym ważnym fakcie, że polska mentalność, mająca charakter zachodni, otrzymała swą formację z Włoch i Francji i historycznie była zawsze bliska - nawet w kwestiach religijnych - najbardziej liberalnych prądów myśli europejskiej. Bezstronne spojrzenie na ludzkość - w całej rozpiętości jej nędzy i chwały - wraz ze szczególną troską o prawa ludzi pokrzywdzonych, nie z jakichś względów mistycznych, ale ze względu na proste poczucie wspólnoty i rzetelną wymianę usług - oto główne rysy umysłowej i moralnej atmosfery domów, które chroniły burzliwe moje dzieciństwo. Te przekonania spokojne i głębokie, trwałe i konsekwentne, były jak najdalsze od owego humanitaryzmu, który wydaje się tylko kwestią roztrzęsionych nerwów i chorobliwego sumienia.*

Ile z tamtego świata wartości pogubiliśmy po drodze, rozmieniliśmy na drobne, a przecież nie zawsze winne były okoliczności...

Praca na rzecz pogodzenia narodów

Na krótko przed śmiercią Edmund Jakubowski napisał dwie notatki biograficzne dla archiwum Polonii Litewskiej. Był wtedy już bardzo słaby fizycznie, chociaż do końca życia zachował żywość umysłu, cechę zawsze go charakteryzującą. Umarł w Sydney 1 lipca 1990, półtora roku po tragicznej śmierci żony. Oto co pisze o swoim życiu i pracy:

Urodziłem się 12 stycznia 1906 roku w rodzinnym majątku Kieciny na Żmudzi w powiecie szawelskim. Moim nauczycielem był stary wileński dziennikarz Józef Monkiewicz. Skutek był taki, że już jako pięcioklasista pisywałem do szkolnej gazetki polskiego gimnazjum w Kownie, a w siódmej klasie już byłem redaktorem harcerskiego miesięcznika "Kruk". Po maturze i czteroletnich studiach chemii we Francji wróciłem na Litwę, zwaną wówczas "Kowieńską". Zacząłem pisywać felietony, do "Dnia Kowieńskiego" - zmienionego później na "Dzień Polski". Od stycznia 1926 zostałem jego redaktorem naczelnym. Gdy zaczęły się tam walki wewnętrzne, a cenzura uniemożliwiła współpracę, zrezygnowałem i od września 1939 miałem zostać redaktorem "Polski Zachodniej" na Śląsku. Już tam nie dojechałem...

W czasie wojny nie brałem pióra do ręki. Pracowałem jako chemik w elektrowni. Latem 1941, uprzedzając wylanie mnie jako Polaka, wróciłem na wieś, gdzie gospodarzyłem rok, nim Niemcy jako Polakowi nie zabrali ziemi. Dostałem pracę jako księgowy w upaństwowionym majątku pod Szawlami. W lipcu 1944 wobec zbliżającego się frontu wraz z falą uchodźców litewskich wyjechałem "na roboty" do Niemiec. Uniknąłem w ten sposób losu mojej siostry i brata zmarłych po wywiezieniu do Rosji Sowieckiej z początkiem wojny. Wyjechałem wraz z żoną i dwiema malutkiemi córeczkami do Austrii, gdzie z początku sieczkowałem zioła w fabryczce lekarstw, a ostatni miesiąc wojny pracowaliśmy u farmera.

Po wyzwoleniu przez amerykanow pisałem teksty pogadanek, które panie odczytywały po mniejszych skupiskach. W Regensburgu zaczął wychodzić powielany "Dziennik Polski w Ratysbonie" założony przez Franciszka Gawrycha, działacza stronnictwa narodowego. Pan Gawrych wyjechał wkrótce do Chicago, a ja zostałem redaktorem dziennika. Tak jak w Kownie, w Ratysbonie były tarcia między grupami, ale ja starałem się zajmować stanowisko wpojone mi w "Światpolu", że na obczyźnie Polak Polakowi bratem.

Z dumą podkreśla Edmund Jakubowski fakt, że dzienniczek ten doszedł do nakładu 10 tysięcy, podczas gdy potężny "Narodowiec" we Francji wychodził tylko cztery razy na tydzień. Więc na zachodniej stronie "żelaznej kurtyny" był to jedyny dziennik polski na kontynencie Europy, którego kadrę w dodatku stanowili Polacy z Litwy Kowieńskiej. Administratorem i redaktorem sportowym był Adam Syriatowicz. Sekretarzem redakcji była Róża Nowotarska, maszynistką była Emilia Rustejko - Martusewiczowa. Antoni Martusewicz pisywał felietony i zaopatrywał w papier. Ponadto przedstawicielem Korpusu generała Andersa na Niemcy był pułkownik Buterlewicz, były peowiak z Litwy, żonaty z Korewianką, przedstawicielem z Londynu do spraw "dipisów" senator Katelbach, a żona z wiłkomierskiego i starszym oficerem łącznikowym major J. Hempel, a żona z rosieńskiego.

Edmund Jakubowski pisywał również z Bawarii korespondencje do "Orła Białego" w Londynie i kilku innych pism emigracyjnych.

W roku 1946 amerykańskie władze okupacyjne w Niemczech zlikwidowały organizację londyńskiej służby łącznikowej. Oficerowie z Londynu byli odesłani do Wielkiej Brytanii. Na ich miejsce przybyli oficerowi reżimowi. Był to okres nacisku na Polaków, by wracali do Polski. W końcu Amerykanie "Dziennik Polski" zamknęli, zarzucając redakcji, że przeszkadza w repatriacji Polaków do Kraju. Już zresztą od dawna "Dziennik" był solą w oku polskich i sowieckich władz komunistycznych oficjalnie cieszących się jeszcze ciągle "przyjaźnią" władz amerykańskich na terenie Niemiec. Po zlikwidowaniu "Dziennika" Edmund Jakubowski nie dał za wygraną i prowadził Biuletyn Informacyjny Zjednoczenia Polskich Uchodźców w strefie okupacji amerykańskiej. Mimo rozlicznych utrudnień w pracy potrafił zachować ideologię niepodległościową, wykazując duże zdolności dyplomatyczne w tym najcięższym dla Polaków okresie na terenie okupowanych Niemiec. Wobec uniemożliwienia dalszej pracy, w marcu 1949 państwo Jakubowscy wraz z córkami wyemigrowali do Australii w licznym gronie Polaków, obywateli litewskich, oraz całą obsadą "Dziennika Polskiego". Dwuletni kontrakt Edmund Jakubowski odsłużył w obozie wojskowym Puckapunyal w Victorii. Przeniósł się potem wraz z rodziną do Sydney, gdzie otrzymał pracę w fabryce jako chemik przemysłowy.

Wracam do notatek Edmunda: *W Australii kontynuowałem korespondencję do londyńskiego "Orła Białego" i pisywałem do "Ostatnich Wiadomości" - pisma kompanii wartowniczych w Mannheim - do "Kuriera Polskiego" w Buenos Aires i do amerykańskiej "Gwiazdy Polarnej". Dorywczo pisywałem do "Tygodnika Katolickiego" w Melbourne - później "Tygodnika Polskiego", gdzie zamieściłem cykl wspominków z Litwy, powtórzonych częściowo przez "Zeszyty Historyczne".*

W styczniu 1950 roku zostałem sekretarzem komitetu redakcyjnego "Wiadomości Polskich" w Sydney. Trafiła później do prasy moja definicja tego systemu organizacyjnego; jeżeli jeden pastuch popędza cztery woły robocze, to praca dobrze idzie, ale gdy czterech pastuchów popędza jednego wołu... więc po kilku tygodniach zrezygnowałem. Dopiero po paru latach wróciłem do "Wiadomości", ale już omijając działy potępieńczych swarów. Zacząłem prowadzić cotygodniowy "Komentarz Australijski". Prowadziłem ten niepodpisany komentarz przez 32 lata, do lipca 1988 roku... . Redaktorowi-wydawcy Janowi Dunin-Karwickiemu należy się uznanie, że utrzymał gazetę polską przez prawie 40 lat w jednym ręku. Rzadki wypadek w prasie polonijnej.

Współpracę z "Kulturą" (paryską) kontynuuję od 40 lat pod pseudonimem E. Żagiell. Edmund Jakubowski musiał cenić wysoko swoją "Kronikę Litewską". W marcu 1989 roku, wkrótce po tragicznej śmierci swej żony, pisze: *Obecnie pisuję tylko do "Kultury" i do "Zeszytów Historycznych.*

Edzia - Kubę poznałam w czasach naszej młodości na Litwie. Współpracował on na niwie społecznej z mym ojcem, który cenił wysoko jego zalety umysłowe i prawość charakteru. W 1938 roku Edzio ożenił się z Heleną Gertlówną, swoją sąsiadką. Uciekaliśmy z Litwy tego samego dnia 14 lipca 1944 roku, Edziowie do Niemiec, a ja do Warszawy, gdzie trafiłam na Powstanie. Spotkaliśmy się z Edziami w Bawarii, a potem 40 lat spotykaliśmy się w Australii.

Kuba był w całym znaczeniu tego słowa obywatelem Wielkiego Księstwa Litewskiego. Gwiazdą przewodnią całej jego działalności na przestrzeni długiego życia była idea pogodzenia obu narodów - polskiego i litewskiego. Dzięki zdolnościom analitycznym, a również świetnej pamięci i niezwykłej pracowitości Edmund Jakubowski był unikalnym znawcą Litwy. Żadne nazwisko wśród działaczy polskich, czy litewskich nie było mu obce. Historię Litwy i jej współczesne zagadnienia pojmował gruntownie. Był chodzącą encyklopedią zagadnień politycznych, społecznych i kulturalnych Litwy. Umiał mówić bardzo interesująco z dużym poczuciem humoru. Był przy tym człowiekiem bardzo skromnym, nie wysuwającym się na pierwszy plan.

Umarł po krótkiej, ale bardzo ciężkiej chorobie 1 lipca 1990 roku. Osierocił nie tylko córki i rodzinę w Australii, ale też liczne grono przyjaciół w Polsce, Litwie i tych rozsianych po świecie. Zgon jego odczuli nie tylko Polacy, ale również Litwini. "Mūsų Pastogė", tygodnik litewski w Australii w numerze z 9 lipca 1990 roku zamieścił krótki życiorys zmarłego pod tytułem "Zmarł przyjaciel Litwy". Tygodnik kończy artykuł zdaniem, które w polskim przekładzie brzmi: *W prasie polskiej jako serdeczny przyjaciel Litwinów, Edmund Jakubowski zawsze podnosił sprawę zniewolenia narodu litewskiego. Prenumerował "Mūsų Pastogė" i był jej współpracownikiem. Spoczywaj w Pokoju.*

Edzio pochowany został obok swej żony na cmentarzu w Sydney. Chciałabym rzucić na ich grób garstkę ziemi ze Żmudzi.

Zofia z Romerów Hemplowa

Jak pomóc polskiej szkole?

W ostatnich czasach, w polskich środowiskach intelektualnych na Litwie, podejmowany jest temat reformy szkolnictwa. Zmiany w tej dziedzinie życia, tak zaniedbanej, a równocześnie tak istotnej w procesie upodmiotowania społeczeństwa polskiego, są koniecznością.

Jakkolwiek jest to proces niesłychanie kosztowny i związany z reformą gospodarczą republiki, to niektóre z nich można by zacząć wdrażać już dziś przygotowując grunt pod przyszłe bardziej złożone. Pragnąłbym tu przedstawić taką próbę selekcji tych zagadnień.

Cele szkoły

Wydaje mi się, że jest to pierwsza kwestia, na którą trzeba by odpowiedzieć. Owszem, główne jej zadanie to nauczanie. Bardzo często sprowadza się to jednak do mechanicznego wtłaczania w umysły młodzieży wiedzy. Tymczasem powinno się przede wszystkim nauczać metod jej zdobywania. Każdy nauczyciel zaś uważa, że to jego przedmiot jest najważniejszy, a bez znajomości tysiąca drobiazgów uczeń w życiu "po prostu przepadnie".

Czy nie należałoby raczej radykalnie zwęzić programów, a uzyskany czas przeznaczyć na ćwiczenie myślenia, formułowania i stawiania pytań, samodzielnego rozwiązywania problemów badawczych? Nauczyciel nie powinien zamykać się w granicach własnego przedmiotu, a łączyć zagadnienia z różnych dziedzin (odwoływanie się polonistów do wiadomości z historii, historyków - z geografii itp.). W ten sposób uczono by patrzenia globalnego, a nie wycinkowego na życie.

Inny dość istotny wymóg to zaciekawić swoim przedmiotem, a dopiero później wymagać.

Czy szkoła powinna tylko uczyć, czy także wychowywać? Naiwność pytania okazuje się tylko pozorna, jeśli zapytamy, jakimi metodami szkoła chce wychowywać? Dotąd często stosowaną metodą był strach i przymus. Wypowiadając się w ankiecie, uczniowie tak widzą ten problem: *Dzisiejsza szkoła to szkoła stresów, dystansów między uczniem a nauczycielem. Szkoła zabija osobowość ucznia. Konieczne jest stworzenie* atmosfery przyjaźni i życzliwości, zburzenie muru między uczniem a wychowawcą. Najlepsze wyjście więc to przechodzenie do stosunków partnerskich. Pedagog ma sobie zdać sprawę, że jest odpowiedzialny za rozwój osobowy ucznia, a nie za "realizację programu". Ma wzmacniać w uczniu wiarę we własne możliwości i zdolności, chęć poszukiwań, indywidualne zainteresowanie, tolerancję. Ale powinien także rozumieć ich brak. W tak pojętym procesie wychowawczym niezmiernie istotne jest współdziałanie szkoły, domu, kościoła, organizacji młodzieżowych. Wiem, są na to kontrargumenty: liczne klasy, brak programów i podręczników, czy choćby zmęczenie nauczycieli itp. Są to fakty, których ignorować nie wolno.

Sytuacja nauczyciela

Oczywiste w tej wszystko zależy od strony finansowej szkoły. Nauczyciele powinni jednak mieć płace, aby nie musieli brać dodatkowych etatów. A to byłoby warunkiem by móc oczekiwać od nich większej efektywności pracy. Nie dziwne, że wielu zdolnych nauczycieli dziś ze szkoły po prostu odchodzi. W dobie trudnej sytuacji gospodarczej może należało by przedyskutować pomysł stworzenia społecznego funduszu wspierającego finansowo nauczycieli. Jedną z form stałego zasilania takiego funduszu mogłyby być co miesięczne niewielkie (kilkunastu rublowe) opłaty za naukę obejmujące wszystkich uczniów. W połączeniu z tym należałoby może zagwarantować rodzicom prawo wybierania klasy i nauczyciela dla dziecka.

Miejsce ucznia

Uczeń powinien tu zająć miejsce szczególne. W dzisiejszej szkole jego problem ginie w morzu innych mniej ważnych. Jedynym wyjściem, wydaje się, oprócz wspomnianego zwężenia programów, redukcja liczby przedmiotów na korzyść większej specjalizacji i indywidualizacji. Specjalizację można by wprowadzić na razie od 9 - 10 klasy. Uczeń w tym wieku już zna swoje zainteresowania i jest w stanie zadecydować czy podejmie studia humanistyczne, medyczne czy związane z naukami ścisłymi. I te przedmioty można byłoby pogłębiać. Natomiast młodzież, która nie zamierza studiować, kosztem tych "nieprzydatnych" przedmiotów mogłaby uczyć się języków obcych, przygotowywać do wybranej pracy. Miernikiem zdobycia wiedzy też dotąd jest spędzenie w szkole określonej liczby godzin: średnio 7-8 lekcji dziennie. O ich efektywności nie mówię, jak też o pracy w domu. Już dziś można by dokonać kilku zmian.

- pominąć lub zmniejszyć niektóre partie materiału;
- wyeliminować lub wprowadzić niektóre przedmioty jako fakultatywne;
- zmniejszyć ogólną liczbę lekcji w tygodniu o 8-10 godzin. Jednocześnie można by wprowadzić w tygodniu 1 godzinę wykładu psychologii i psychiatrii (prowadzonego przez kompetentnego pedagoga). Celem jego byłoby:
- pomoc młodzieży w rozwiązywaniu problemów o podłożu psychologiczno-biologicznym związanych z jej rozwojem i życiem w społeczeństwie.
- wskazanie sposobów postępowania w konfliktach, wychodzenia z frustracji i stanów nerwowych.
- wyjaśniać przyczyny różnych zachowań ludzkich w zależności od charakteru, wychowania, środowiska itp.

Stosunki panujące w szkole

Sprawą nagminnie powracającą w rozmowach z uczniami jest istnienie "muru" między nimi a nauczycielami. Uczeń żyje w stresie, zabijana jest spontaniczność, aktywność. Nie twierdzę, że czyni się to celowo. Raczej jest to wynik panujących stosunków. Może więc część tych problemów rozwiązać zapewniając respektowanie praw młodzieży, gwarantowanych przez Kodeks Ucznia (istniejący tylko na papierze). Często sprawa ucznia zależy tylko od dobrej woli nauczyciela bądź próbuje się je powiązać z obowiązkami, a nie jest to dobra droga wychowawcza.

Szkoła to wspólnota uczniów i nauczycieli i jeśli ma spełnić swoje zadania wychowawcze powinna dać uczniom pewne pole niezależności i autonomii. Można by to osiągnąć poprzez stworzenie forum wyrażającego niezależne myśli, oceny i krytykę. A więc:

- stworzenie gazetki szkolnej redagowanej przez uczniów;
- powołanie rzecznika praw uczniów (najlepiej spoza szkoły);
- zagwarantowanie samorządowi prawa udziału w posiedzeniach Rady Szkoły;
- umożliwienie uczniom wyboru i oceny nauczycieli;
- utworzenie na wzór szkół wyższych "Hide Parku" - tablicy na korytarzu, na której uczniowie mogliby zawieszać wszelkie swoje teksty.

Nowy model kształcenia

Wszystkie poprzednie propozycje nie wymagają nadzwyczajnych środków finansowych, a ich realizacja wymagałaby tylko pewnych zmian w całokształcie życia szkoły. To, co dotyczy już modelu, to wymaga ogromnych kosztów i umiejscowić je należałoby dopiero w odległej przyszłości.

Zasadniczą sprawą byłoby rozbicie dotychczasowego 12-letniego cyklu kształcenia na 2 etapy. Pierwszy obejmujący 8 klas miałby dać wykształcenie podstawowe. Chodziłoby w nim o wzbudzenie zainteresowania określonymi dziedzinami wiedzy. Po skończeniu 8 klas młodzież zależnie od zainteresowań i ambicji mogłaby mieć do wyboru szkoły zawodowe, technika lub 4-letnie gimnazja. Ten trójdzielny podział powinien zawierać dalszą specjalizację.

Rozwój techniki, komputeryzacja, a co ważniejsze, istniejące bezrobocie stwarza warunki konkurencyjności, dlatego wskazane byłoby promowanie coraz większej specjalizacji (nawet dwuzawodowej) kosztem wykształcenia szerokiego, lecz powierzchownego.

Uwaga ta dotyczy wszystkich typów szkół średnich. Miejsce szczególne wśród tych szkół zajmować powinno gimnazjum. Istnieje niekwestionowana potrzeba powołania takiej szkoły dla polskiej młodzieży z Wileńszczyzny. Przyjmowano by do niej po skończeniu 8 klas i zdaniu egzaminów wstępnych. Byłaby to szkoła z założenia elitarna, o ograniczonej liczbie miejsc (np.: 3 równorzędne klasy po 10 - 15 osób), wysokich opłatach, lecz z najlepszymi specjalistami i wykorzystaniem najnowszych środków nauczania. Podstawowym jej celem byłoby wychowywanie młodej polskiej inteligencji oraz przygotowywanie młodzieży do podjęcia studiów na uniwersytetach na Litwie i w Polsce.

Społeczna Rada Pomocy Szkole i Rada Szkoły

Ponieważ szkoła funkcjonuje w konkretnym środowisku, jest z nim związana, zdana na jego pomoc i często jej potrzebująca, pożyteczne byłoby stworzenie Społecznej Rady Pomocy Szkole. Oprócz nauczycieli wchodziliby do niej także przedtawiciele rodziców, Macierzy Szkolnej, absolwentów, zakładów pracy czyli społeczność lokalna. Organ ten, maksymalnie odformalizowany miałby:

- pomagać i organizować wsparcie finansowe dla szkoły;
- pomagać w zdobywaniu podręczników, literatury, pomocy naukowych;
- pomagać absolwentom w znalezieniu pracy;
- wspierać inicjatywy uczniów i ich organizacji np.: turystycznych;
- nawiązywać kontakty ze szkołami w Polsce.

Można by też zreformować organ zarządzający szkołą: utworzyć Radę Szkoły, wprowadzając do niej przedstawicieli uczniów i rodziców. Wszyscy zainteresowani powinni mieć prawo decydowania o obliczu i kształcie szkoły.

Organizacja zajęć pozalekcyjnych

Pomoc w zagospodarowaniu wolnego czasu młodzieży jest moralnym obowiązkiem szkoły jako wychowawcy. Zadanie polega na tym, by stworzyć dość atrakcyjny wachlarz propozycji i ofert tak, by przeciągnął ją i poprzez pozytywne wzorce pobudzał do rozwoju, zamiłowania i zainteresowania. Można by to osiągnąć poprzez:

- rozwój i popularyzację turystyki;
- organizacje harcerskie i religijne;
- koła naukowe, dyskusje na tematy historyczne, filozoficzne, etyczne;
- działalność kulturalną: kabarety, konkursy, turnieje, filmy;
- organizowanie różnych kursów np.: pisanie na maszynie, szycia, gotowania, obsługa komputerów, prawa jazdy.

Należy podkreślić doniosłą rolę nauczycieli - wychowawcę-przyjaciela, któremu często przypada rola inspiratora i opiekuna.

Szkolnictwo wyższe

To, że powinien być Uniwersytet Polski w Wilnie, nie trzeba powtarzać. Teraz najważniejsze jest pytanie: jak zapewnić mu odpowiednio wysoki poziom?

Na razie dość ogólnie można stwierdzić, że każdy dobry uniwersytet stanowi wspólnotę profesorów i studentów. Aby tak jednak było, nie wystarczą, najlepsi nawet profesorowie, potrzebni są odpowiednio już przygotowani studenci. Właśnie to przygotowanie spoczywa na nauczycielach i szkołach.

W tym miejscu nie można nie wspomnieć o dużej roli Wileńskiego Instytutu Pedagogicznego - przygotowującego kadrę nauczycielską. Absolwenci Wydziału Polonistycznego (od tego roku polonistyka wraz z filologią rosyjską i białoruską tworzy Wydział Slawistyki), oprócz j. polskiego posiadają drugą - każdy rocznik inną - specjalizację. Podczas późniejszej pracy w szkole jest to bardzo przydatne.

Oprócz 10 tygodni praktyki w szkołach wileńskich studenci polonistyki wyjeżdżają też na miesięczną praktykę do Wrocławia. W Instytucie kształci się nauczycieli dla klas początkowych. Poza tym przy Wydziale Slawistyki funkcjonuje oddział doskonalenia nauczycieli.

Tu też przygotowuje się programy nauczania, w porozumieniu z ministerstwem ustala liczbę godzin i zakres materiału do opanowania przez uczniów. Wszystko to sprawia, iż polonistyka może stać się jednym z najodpowiedniejszych ośrodków dla podjęcia i pokierowania reformą szkół polskich na Litwie. Może właśnie w oparciu na ten ośrodek warto by stworzyć forum nauczycieli zainteresowanych wypracowaniem i realizacją reform w szkolnictwie, opracowaniem nowych programów, podręczników itp. Prawa i sposób funkcjonowania takiej struktury byłyby, rzecz jasna, do ustalenia.

Szkolnictwo prywatne

Choć zagadnienie to poruszam na zakończenie, to jego znaczenie jest o wiele większe. Większość proponowanych powyżej zmian stanowi doraźną pomoc dla szkół państwowych. Ale nawet z tych kilku posunięć widać, że prowadzą one do uczynienia szkoły instytucją formowaną przez społeczeństwo.

Punktem docelowym powinno więc być podobnie, jak na Zachodzie, szkolnictwo prywatne. Nie obejmie ono, rzecz jasna, całej młodzieży, lecz poprzez dużą specjalizację, wysoki poziom (i wysokie opłaty) przygotowywać będzie - dla kraju - najlepszych fachowców, a dla narodu - pozwoli wykształcić elity intelektualne, będące najlepszym gwarantem jego przetrwania i rozwoju.

x x x

Kończąc chciałbym podkreślić że, jakkolwiek są to spostrzeżenia potwierdzone w rozmowach z nauczycielami i uczniami, nie wyczerpują one problemu i stanowią tylko bodziec do dalszej dyskusji.

Mariusz Gasztoł

Kaziuk dla najmłodszych

Wileński Polski Teatr Ludowy pod kierownictwem Ireny Rymowicz zorganizował po raz pierwszy barwną imprezę z okazji Kaziukowego święta dla dzieci. Uczniowie szkół polskich mieli okazję nie tylko pokazać własnoręcznie wykonane wyroby, ale i zaproponować je do nabycia. W Klubie Kolejarza zgromadzono rysunki, aplikacje, serwetki, najprzeróżniejsze zwierzęta i cuda z plasteliny, lalki. Nie zabrakło też słodyczy - pączków, chrustów, bułeczek. Funkcjonowało stoisko z książkami i prasą wileńską. Do imprezy aktywnie włączyły się wileńskie szkoły - im. A. Mickiewicza i nr 29.

Zwiedzający mogli też nabyć tradycyjne palmy, wyroby ze skóry, wymyślne lalki mistrzyni ludowej Jadwigi Baniukiewicz (byłej aktorki tegoż teatru). Kiermaszowi towarzyszyła wesoła atmosfera zabawy, a zarobiony skromny grosik dzieci mogły już na miejscu wydać.

Należy odnotować pomysłowość i dobrą organizację imprezy, którą uświetniła wypróbowana komedia A. Walewskiego pt. "Tatuś pozwolił". Zespół wciąż szuka nowych kontaktów z widzami, zaprasza do siebie wszystkich chętnych, ostatnio dużo występuje w terenie, objeżdżając wioski Wileńszczyzny. Niesie pogodę ducha i dobry humor, co w naszych czasach wydaje się niezmiernie ważne i potrzebne.

Irena Litwinowicz

Na zdjęciu: Pani Irena Rymowicz z najmłodszymi uczestnikami Kaziukowej imprezy.

Fot **Bronisława Kondratowicz**

To, co było

Wspomnienia z Wilna sprzed pierwszej wojny światowej

Zofia Dembowska - Römer

Autorka wilnianka z urodzenia. Reprezentantka znakomitej rodziny Römerów, tak zasłużonej dla Wilna, dla Litwy, dla kultury polskiej i litewskiej. Poprzez Workutę na emigracji osiadła.

Proponujemy fragmenty wspomnień Zofii Dembowskiej-Römer (1885-1972) drukowane w swoim czasie na Zachodzie.

Szyszkarnia

Tak się za dawnych czasów nazywał popularnie dom nr 3 przy ulicy Niemieckiej w Wilnie. Wtedy domy nie były jeszcze numerowane jak w Europie, tylko nazywały się od właściciela i to najczęściej, jak nasz właśnie od poprzedniego właściciela, czyli od Szyszki.

Jeszcze dawniej dom ten należał do Millera i był sławny, bo w jego salach odbywały się bale maskowe, reduty, o których takie ciekawe anegdoty opowiada Morawski w swoich pamiętnikach. Po pierwszej wojnie - za Polski, wmurowano nad bramą tablicę pamiątkową z napisem, że mieszkał tam S. Moniuszko.

Wchodziło się niską, długą bramą, wybrukowaną kocimi łbami. Przez środek szedł rynsztok, przykryty deskami, po których było wygodniej chodzić, ale ja się bałam, że deska może się usunąć i wtedy byłoby strasznie wpaść do tego brudnego ścieku. W bramie były niskie drzwi do stróża (nigdy nie będę mówić "dozorcy", bo przecież anioł był stróżem, a nie dozorcą), i naprawdę, jak sobie przypominam tę straszną norę, ciemną i wilgotną, w której się gnieździł nasz biedny stróż ze swymi blademi dziećmi, to myślę, że zupełnie naturalny był odruch za bolszewickich czasów, że kazano stróżom wyznaczyć mieszkania na parterze.

Do nas trzeba było z bramy iść na prawo, żelaznymi schodami. Na pierwszym piętrze były dwa mieszkania: skład mebli Olkina i mieszkanie Michała Węsławskiego, adwokata. My mieszkaliśmy na górze. Wchodziło się do przedpokoju, który był ogromny, ale ciemny. Jedyne światło wchodziło przez matowe okno w ścianie, która dzieliła nasz przedpokój z przedpokojem Węsławskich. Państwo Węsławscy - Witoldowie, bo na dole byli Michałowie (wtedy jeszcze nie mówiło się "Michałostwo") mieli córkę, jedynaczkę w moim wieku, Jańcię, z którą bawiłyśmy się co dzień od obiadu do wieczora. Stukało się do tego okna w przedpokoju, w oknie otwierał się lufcik i tak umawiałyśmy się, kto do kogo przyjdzie. Czasem przez ten lufcik rozmawiali ze sobą tatusiowie, czasem - rzadziej mamusie.

Najdłuższą epokę naszych wspólnych zabaw z Jańcią wypełniały lalki papierowe. Całe stosy, pudła lalek. Najpierw były lalki wycięte z arkuszów, narysowane zawsze w skromnej bieliźnie, z sukienkami osobno, ale te nasze się znudziły, bo to zawsze były tylko dzieci, a my układałyśmy całe romanse przedziwne, w których te lalki były księżniczkami, wychodziły za mąż i rozwodziły się i dlatego zmieniłyśmy nasze arkuszowe dzieci na damy, wycięte z żurnalów. Mamusia wypisywała, pamiętam, "La Saison", na dobrym, gładkim papierze i to się doskonale nadawało. Miałyśmy już po 12 lat chyba, jak jeszcze bawiłyśmy się w te lalki; aż kiedyś przyszedł przyjaciel Tatusia, dr Minkiewicz i zaczął wydziwiać: takie duże panny i jeszcze bawią się lalkami! Od tego czasu nasze królowe już nie wychodziły poza nasz sypialny pokój...

Z przedpokoju szło się do stołowego, który był też ogromny, ale nudny, bo okna wychodziły bezpośrednio na ścianę sąsiedniego domu tak, że ani skrawka nieba nie było widać. Dalej był mój malutki pokoik. Przez jedyne okno też nie było widoku na świat, tylko wąski dziedziniec, obudowany ze wszystkich stron i składy drzewa na dole. W tym pokoju pamiętam rozmaite nauczycielki, siedzące przy moim "pulpicie". Najpierw Jadwiga Martusewiczówna, ale ta była krótko, bo poszła na medycynę do Krakowa. Potem tzn. Bernasia - B. Bernatowiczówna, która miała dla mnie pewien rodzaj podziwu, co mnie bardzo wzruszało. Panna Kolbe, Niemka, wyznająca zasadę, że najlepiej się uczy języków przez konwersację i dlatego znosiła zawsze wszystkie plotki z miasta. Mademoiselle Claude, stara, poczciwa Francuzka, która przychodziła bawić się z nami, z Jańcią i ze mną.

Potem nastała epoka Zosi Paszkosi, wspólne lekcje z Zosią Szostakowską, ale to należy więcej do Małej Pohulanki.

Z mieszkania na Niemieckiej, gabinetu ojca i pokoju rodziców mało pamiętam. W gabinecie wisiała na ścianach "Wojna" Grottgera i były szafy biblioteczne, w których była najciekawsza książka, ósmy tom "Ludu" Kolberga, zawierający wszelkie bajki i legendy ludowe. Bajki! Czyż mogło być coś cudowniejszego nad bajki! Była jedna, której się zawsze bałam: "O lichu" - tak jak Dimek bał się bajki o "Toczygroszku", którą mu opowiadałam, jak pozował kiedyś. Siedział sobie na wysokim krzesełku, na podium, w niebieskim fartuszku - słuchał, aż tu patrzę - a buzia mu się skręca w podkówkę i "już nie mów dalej".

Ale wracam jeszcze do naszego mieszkania na Niemieckiej. Z tego mieszkania najwięcej lubiłam salon. W salonie były dwa okna, które wychodziły na Niemiecką ulicę. Z okien widać było dach *vis-a-vis* i mansardy w dachu wgłębione, w których mieszkały rodziny żydowskie i latem wystawiali swoje doniczki przed okna. Ale najważniejsze, że spoza dachu widać było niebo! I chmury przechodzące. I taka tęsknota ogarniała mnie zawsze na widok przestrzeni. Pamiętam, jak płakałam, siedząc na tym oknie i czytając śmierć Litki w Rodzinie Połanieckich i Jańcia starała się mnie pocieszyć.

(Cdn.)

Na starej fotografii: Kościół Misjonarzy na początku naszego stulecia

W "Znad Wilii" pisaliśmy o Targach Północnych, które w okresie międzywojennym odbywały się w Wilnie. Nasz Czytelnik Alfred Anuszkiewicz udostępnił redakcji ulotkę z programem ostatnich Targów w 1939 roku. Poniżej reprodukujemy tę ulotkę. Swoją drogą, dobrze by było gdyby w Wilnie odbywały solidne międzynarodowe targi.

Wszyscy na Targi Północne!

Całe Wilno żyje obecnie pod hasłem Targów Północnych oraz Wystaw Rolniczych, odbywających się w ramach Targów w czasie od 19.VIII. do 3.IX. 1939 r. Program tegorocznych Targów Wileńskich obejmuje:

1. Wytwory polskiego przemysłu, ze wszystkich działów gospodarstwa krajowego z całej Polski.
2. Maszyny rolnicze krajowe „Unia - Ventzki" oraz z b. Czechosłowacji.
3. Przedsiębiorstwa i monopole państwowe.
4. Rzemiosło.
5. Przetwórstwo i spółdzielczość rolna.
6. Wystawa Meblarska.
7. Wystawa ogródków działkowych.
8. Wystawa Pszczelarska.
9. Pokaz ryb.
10. Pawilon m. Wilna.
11. Zapora Wodna w Turniszkach.
12. Model m. Gdyni.
13. Ogólnopolskie Targi Ziół Leczniczych, Grzybów i Konserw Roślinnych (1—3.IX.).
14. Ogólnopolska Wystawa Drobiu, Psów Rasowych, Gołębi Pocztowych i Rasowych, Królików i Zwierząt Futerkowych (26—28.VIII.).
15. Pokaz i remont koni (1—3.IX.).
16. Demonstracja tresury psa policyjnego (26—28.VIII.).

Na czas od dn. 2—3 września organizuje się w Wilnie Zjazd Związku Młodej Wsi, w czasie którego odbędą się wielkie Tradycyjne Dożynki.

W ostatnich dniach trwania Targów i Wystaw odbędą się zjazdy i konferencje branżowe oraz imprezy.

Tereny Targowe są otwarte od godz. 8 rano do godz. 10 wieczór, a pawilony targowe od 9 rano do 8 wieczór. Dojazd autobusem Nr 3. Ceny biletów wstępu wynoszą od 15 gr. do 60 gr.

Zwiedzajcie V Targi Północne oraz liczne Wystawy i Pokazy specjalne!

Drukarnia „Patria", Wilno, Wielka 44.

LITEWSKI ZAKŁAD PAŃSTWOWY
"MATAS"

specjalizujący się od roku 1946 w naprawie sprzętu pomiarowego prowadzi naprawę przyrządów produkcji ZSRR i gotów jest współpracować z analogiczną firmą w POLSCE

Nasz adres: Republika Litewska 2643, ul. Paplaujos 3
tel. 69-07-36, 69-02-84
dalekopis 261458
telefax: 624872 "EKOLET" S.A .Trofimow

"Znad Wilii" - niezależny społeczno-kulturalny dwutygodnik • ADRES REDAKCJI: 2001 Wilno, ul. Išganytojo 2/4, telefon: 22 42 45, fax 22 34 55
REDAKCJA: Aleksander Borowik, Wanda Marcinkiewicz-Mieczkowska, Romuald Mieczkowski (redaktor naczelny), Czesław Okińczyc, Danuta Piotrowiczowa, Wojciech Piotrowicz • CENTRUM TECHNICZNE: Irena Dejnarowicz, Zdzisław Gorbaczewski (kierownik), Renata Skrobot Henryka Uczkuronis (korekta) • SEKRETARIAT: Irena Wojciechowska • Wydawca: ZNAD WILII S.A. prezes Zdzisław Tryk
Skład komputerowy własny • Druk offsetowy, 2 arkusze druk. Drukarnia Litewskiego Przedsiębiorstwa Wydawniczego "Spauda" • Indeks 67248
KONTO: 1467292 Komercinis Bankas "Vilniaus Bankas", kod 260101541

Podpisano do druku 12 marca 1992. XL-160
cena 1 rb. (15 kop. akcyza)

VILNIANA

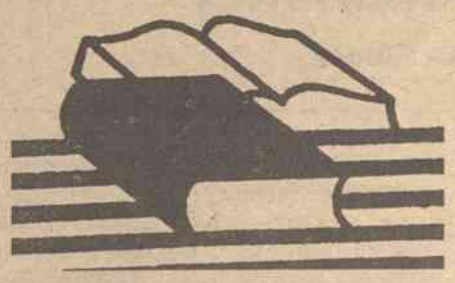

Mam przed sobą intrygujący tytuł "Zamęt pod Ostrą Bramą" Alicji Basty. Biało-czerwona okładka z tłem muru i fragmentem południowej strony Bramy. Niewątpliwie, rzecz się dzieje w grodzie Giedyminowym. Powiedzmy od razu, rzecz dzieje się dwa/trzy lata temu, a więc autorka łapie naszą rzeczywistość za włosy na gorąco, próbuje przekazać tło zdarzeń tak, jak płynęły widziane okiem przybysza nie znającego Wilna, ani jego ludzi. Stąd całość ma walor obiektywizmu, zwłaszcza że A. Basta wykazuje rzadką przenikliwość dziennikarską, bardzo trafnie wyczuła ów klimat tamtych tak niedawnych chwil.

Na okładce wydawca pisze o pozycji "reportaż", autorka jest istotnie znaną warszawską reporterką. Dziś w rwącym naszym życiu ten gatunek najbardziej jest powołany do zadania rejestrowania rzeczywistości. Co prawda, mając tę wadę, że szybko się starzeje, ale można stwierdzić, że stając się dokumentem wiernie zachowuje na swych kruchych stronicach bieg życia. Jak powiedziałam, autorce ta rejestracja doskonale się udała. Mnie piszącej te słowa (m.in. wspomnianej w treści z życzliwością, do czego autorka nie miała zobowiązania) sprawia satysfakcję, że obraz przedstawiony jest prawdziwy, a przynajmniej nie jest powierzchowny, co często się zdarza wielu dziennikarzom tak dotąd gęsto piszącym o Wilnie czy Wileńszczyźnie, albo inaczej o Polakach na Litwie. Trzeba przyznać, że pierestrojka stworzyła już wtedy po temu warunki i pociągnęła liczny potok piszących. Powiedzmy, że A.Basta była jedną z tych pierwszych i renomy swej jako reporterka nie podważyła zdawkowością spostrzeżeń. To nie jest li tylko mozaika ot widziana tam świeżym okiem. Tu każdy drobiazg jest oddany poprzez pryzmat historycznego odniesienia, poprzez zagłębienie się z wypowiedzianą opinią i własne odczucie człowieka nie obciążonego resentymentami wileńskimi, ale też bolejącego nad niepotrzebnym, *quasi* konfliktem polsko-litewskim, najczęściej wynikającym zwyczajnie z niewiedzy historycznej, a stąd uprzedzeń.

Nie wykluczam w sumie, że gdy książka się spopularyzuje wśród czytelników w Wilnie, wśród licznych choćby jej bohaterów, że nie wywoła pewnego fermentu, tak charakterystycznego dla naszego polskiego tu środowiska. Nie wątpię, że niektórzy dopatrzą się obrazu nie takiego, jak go sami widzą bądź sami w nim się widzą, a przede wszystkim wielu siebie nie znajdzie w ogóle. Będą mieli pretensję o zawężenie kształtu dziejów tych ostatnich paru lat, boż i nowi bohaterowie się pojawili, jedni zdystansowali innych w działalności takiej czy owakiej. Ale dobry dziennikarz ma to do siebie, że łapie swą intuicją to, co mu ta każe, nie szuka tego co wyraźnie pływa na powierzchni, ale szuka nurtu podskórnego, starając się go wyrazić, uchwycić jego drgania. Ten wewnętrzny nurt właśnie się znalazł w omawianym tomie. Nazwałabym to po swojemu - udana rzecz typu tego, co jak cię widzą, tak cię piszą. Obrażać się po prostu by nie wypadało. Chyba nie ma o co.

Doceniając pióro autorki, zacięcie intelektualne, dociekliwość przedmiotu i w ogóle prawdziwy nos dziennikarski trzeba przyznać, że nieliczne tylko znalazły się uchybienia, powiedzmy dla przykładu, jakimś Bogiem nazwisko p. Ireny Rymowicz trafiło konsekwentnie jako "Rumowicz". Wspominam o tym raczej dla porządku rzeczy, bo może to zwykłe utrapione chochliki korektorskie, na które na ogół nie ma rady.

Sumując, książeczka aczkolwiek nie jest wielka, niechcący znów staje się "małym pomniczkiem" (z określenia gdzie indziej Tadeusza Konwickiego) dla wilnian. Siłą rzeczy stanie się niejakim bestsellerem wśród nich gdziekolwiek są. Autorka pochodząca z geograficznego serca polskości - z umiłowanej i jakże pięknie opisanej Ziemi Kieleckiej przez jej syna Stefana Żeromskiego - złożyła jakby hołd Ziemi Wileńskiej. Nie szukajmy tam słów sentymentalnych, wyznań miłosnych dla niej, ale coś tu przyciągnęło i wkręciło w owe koła tut. rydwanu zdarzeń i ludzi. I to ważne. A świat w międzyczasie szybko znów poszedł dalej, choć zdawało się, że właśnie na ten jeden moment ściągnął uwagę świata nawet, nie tylko sąsiadów. Gdzie indziej już oczy się skierowały i inne problemy ważniejsze się stały. Czemu też dziwić się nie należy. A ten nasz polsko-litewski zamęt został na tych kruchych stroniczkach papieru, wyprowadzony ręką myślącej reporterki dla potomnych (potomnych, jak lubimy często mówić)...

D.

Alicja Basta "Zamęt pod Ostrą Bramą", Oficyna Wydawnicza "Alma-Press", Warszawa 1991, str. 150

W głąb i z bliska

Nie pamiętam początków nauki liczenia. Musiało to być bardzo dawno, kiedy pamięć nie była taśmą ciągłą, a między jej poszczególnymi klatkami tkwił mrok, zupełne nic, takie coś, czego widocznie nie warto pamiętać. Ale wart zapamiętania okazał się efekt tej nauki, nad którą mądrzejszej wtenczas nie znałem. Ciąg kolejnych wymienianych liczb sprawiał uciechę, że w tym ograniczonym ścianami dziecięcym świecie, gdzie tego i tamtego, i wiele naraz innych rzeczy nie wolno, tu - nie ma granic, że można wciąż iść w wymienianiu coraz to większych liczb. Dowiedziałem się później, że nawet - do nieskończoności. Ta dawała poczucie rozmachu, swobody i tajemnicy jej niewyczerpalnych możliwości.

W zapisywaniu też, kiedy i tę sztukę posiadłem. Cyfra za cyfrą, w liczby coraz większe. Takie, jak te, patrzące z kalendarza, z tarczy zegara, wyraziście tłuste, mocą swoją napuszone. Ale u sąsiadów widziałem zegar inny, szafkowy, nie zaś wiszący. Stał w kącie uparcie, a szedł, cykał inaczej, wahadłem takt miarowy wybijał, a na tarczy miał inne numery. Mówiono: rzymskie. Były chude i proste. Takież same się odsłaniały na ramach okiennych, kiedy wiosną wyjmowano dubelty. Dłutem nacięte oznakowania podpowiadały, do której niszy okiennej mają o jesieni wrócić. A teraz uporządkowane szły na przepaścisty strych, bowiem ciepła stawało się bez nich, pod dostatkiem - można okno otworzyć na oścież, na powiew świeży, na budzący się ptasi świergot.

Wolny dół framugi był dobrym poligonem dla zabawek oglądanych na nowo, w tle rozedrganego w słońcu podwórza, a nie zimowego półmroku wnętrz.

Czas wyjmowania dubeltów znaczowych rzymską cyfrą kojarzył się nierozerwalnie z jasnością przestrzeni na zewnątrz i powiększonej wewnątrz domu. Oznaczało to nieskończoność długich dni, pełnych ciepła i ptasiego zgiełku.

Czasoprzestrzeń wczesnowiosenna, kiedy każda gałązka sokiem wezbrana gotowa strzelić pąkiem, korony drzew zagęścić, sypnąć deszczem kroplistym po dachu, strugą spłynąć w nagłym znów słońca rozbłysku. I tak się dzieje raz, dwa, trzy... w nieskończoność rozłożoną na chwile, które kto by tam liczył. Za wiele cudów naraz się dzieje, z początku nieśmiało przyczajonych, nabierających coraz większego przyśpieszenia później: pod błękitem w zieleni, nad szarością.

Wojciech Radłowski

O Litwie, dalibógże! mniej wiem niż o Chinach - mówił kamerjunkier w III części "Dziadów".

Słowa te zachowały aktualność do dnia dzisiejszego a prezentowany podręcznik ma na celu wypełnienie dotkliwej luki w naszej wiedzy - a raczej jej braku - o współczesnej Litwie. Współczesność ta jest rozumiana szeroko, zasadniczo od powstania państwa litewskiego w 1918 do odrodzenia się państwowości litewskiej w latach 1990 - 1991.

Przedmiotem rozważań będą kolejno: geografia, społeczeństwo, historia, polityka, kultura, krajoznawstwo. Jest to pierwsze od ponad półwiecza kompedium wiedzy o Litwie dla każdego: studenta, dziennikarza, działacza społecznego i politycznego, turysty i w końcu miłośnika tego bliskiego i jednocześnie dalekiego nam kraju.

W ten sposób anonsuje się w Polsce książkę Grzegorza Błaszczyka pt. "Litwa Współczesna",która ukaże się nakładem PWN i w III kwartale br. będzie do nabycia w księgarniach w Polsce.

Od nowa

POCHWAŁA OPOZYCJI

Szewc bez butów chodzi, a dziennikarz nie pisze dla siebie. Niegdyś miał podrywać do czynu cały naród. Dziś wystarczy już poruszać jego poszczególne warstwy. Myśli mogą być przy tym *nieuczesane* - jakby powiedział Lec. Wyrażając zadowolenie zwierzęcia wypuszczonego z klatki wołamy: To cud, że można nareszcie głośno wyrażać swe poglądy! Znaczna część prasy z mety okrzyknęła się jako niezależna. Nie warto wnikać w jałowe dyskusje, gdzie zaczynają się i kończą granice tej niezależności. Nikt jakoś nie pomyślał o tym, że przynależność do jakiejś partii czy ugrupowania politycznego nie musi być koniecznie przeszkodą dla rasowego reportera. Na świecie są tysiące miarodajnych tytułów, które nie wstydzą się swej zależności, zaś rzetelnie podchodząc do faktów są o wiele mniej stronniczy niż nasza niejedna gazeta *niezależna*. Po prostu są odpowiednie zasady gry, inny stosunek do człowieka prasy. Liczy się przede wszystkim jego osobowość.

A jest to trochę pisarz, trochę psycholog. Prokurator, a jednocześnie obrońca. Na pewno coraz więcej polityk, coraz mniej propagandysta. I zawsze kaskader. Człowiek o wyostrzonej intuicji, ze zdolnościami oceny sytuacji i jej prognozowania. Niezależnie od przekonań i opcji politycznych ma kierować się poszukiwaniem prawdy, dążyć do poprawy społeczeństwa. Nie mogłem się obejść bez przypomnienia tych truizmów, ponieważ w naszych warunkach wiele niezależnych redakcji przekształciło się w biura prasowe poszczególnych działaczy, którzy swe nowe hobby dziennikarskie traktują jedynie jako środek w walce ze swymi przeciwnikami. Cele bywają po ludzku banalne i przyziemne, a powoływania się na wszystkich świętych, demokrację i opinię świata ma pomóc w ich realizacji. Ileż szumu z tego! A ludzie czytają, wertują słowniki - by w końcu dojść do wniosku: Wszystko to po to, ponieważ pan Iks chce przeskoczyć na drabinie służbowej swego rywala Ygreka...

Jest to często, więc walka nie o poglądy wcale, a o władzę. Nawet jeśli jest to jej tylko namiastka. To stąd w gazetach tyle pomówień, oskarżeń, złośliwych plotek. Trzeba przyznać, iż dzielnie temu sekundują szarzy postkomunistyczni żurnaliści, zwykli zazdrośnicy i pieniacze. Brakowało natomiast i nadal brakuje materiałów analitycznych. Krytyki - nie tylko tej, dotyczącej codziennej kryzysowej egzystencji, lecz sięgającej górnego pułapu władzy. Nie tyle to jest *temat tabu*, co coraz mniej śmiałków (na dobrą sprawę ich nigdy nie było za dużo) krytycznego spojrzenia na to, co robią nasi decydenci. A przecież im więcej krytyki parlamentu, rządu, struktur wykonawczych - tym praca ich będzie sprawniejsza, lepsze ustawodawstwo, efektywniejsza polityka, znośniejsza gospodarka.

Tymczasem mężowie stanu chcieliby, żeby mass media jeno donosiły do *niedoinformowanych mas* mądre ustawy i nieomylne stanowisko władzy. Kto zaś ją chwali (nawet jeśli i zasługuje na to) - przepadł z kretesem. Mieliśmy możliwość przez długie lata czytać o tym, że żyjemy w *najlepszym społeczeństwie*.

Oczywiście, trudno wymagać krytyki od *gwiazdy reportażu*, która niczym cień podąża za pierwszymi ludźmi, a tylko poufnie i szeptem opowiada co pikantniejsze szczegóły spotkań dyplomatycznych zamiast o tym napisać. Wiadomo, *voyages, voyages*... Tylko słowa akceptacji i podzięki dla autorów najbardziej niedorzecznych ustaw znajdą dziennikarze piejący peany dla niegdysiejszej partii, dziś również czołowi sprawozdawcy.

Nic krytycznego nie zauważy też korespondent zagraniczny. Jego praca, to osobny temat na felieton. Szczególnie, gdy pisze o niebywałych naszych sukcesach gdzie indziej. Artykułów o osiągnięciach naszej dyplomacji za granicą inaczej czytać nie da się, jak tylko na stojąco. Czy to mieszkając w jakimś *normalnym kraju* nasi zagraniczni informatorzy nie zatracili umiejętności oceny sytuacji? Raczej nie. Bo gdyby zechcieli pisać o żenującym zachowaniu się naszych obywateli w innym świecie, kiepskiej organizacji litewskich imprez, podać krytyce tezę, że *Litwa nie jest pępkiem świata*, to mogliby to robić na miejscu. I to nie zawsze. Ale tych ludzi można jeszcze zrozumieć - przy każdym dworze istnieje *świta*.

Podobne głosy dopingują jednak tysiące reporterów do piętnowania potknięć, krytycznego spojrzenia. Zresztą nie mają oni nic do stracenia - prasa pozarządowa zyskuje coraz więcej zwolenników. To właśnie dlatego były próby jej zdławienia, nacisku na poszczególnych reporterów. Wystarczy spojrzeć na realia, żeby przekonać się, komu Czytelnik uwierzy. Tylko opozycja, spojrzenie z dystansu i z bliska, wprost i z ukosa - daje szansę stworzenia dodatkowego bieguna ocen. Człowiek nie związany z fotelem, miejscem, perspektywą podróży w doborowym towarzystwie może powiedzieć, co myśli naprawdę. Na opozycję nie należy patrzeć jak na wroga - jest to jeden z filarów demokracji. Wszak cele pozostają te same - nie spotkałem jeszcze działacza, który by powiedział, że to wszystko nie robi *dla dobra bliźniego*. Choć sąsiad Franek mówi, że opozycji u nas nie ma, a do wszystkich partii i frakcji można zastosować wspólny mianownik, to uważam, że podziały zarysowały się dość wyraźnie. Swoją drogą opozycja jest nie tyle sprawą przynależności, co *stosunkiem do realności*. Dlatego można podpisać za grupą intelektualistów litewskich, tzw. Kartę Demokratyczną, która narodziła się w ubiegłym roku na Węgrzech i ma przeciwdziałać tworzeniu się autokratycznych struktur władzy w krajach postkomunistycznych.

Potrzeba jest opozycji jak powietrza. Musimy sobie pozwolić na jej istnienie. Życzyć, żeby była kategoryczna, lecz kulturalna, nieprzekupna choć majętna, żeby i w opozycji ludzie byli syci. Jak to zrobić? Po prostu pogodzić się z faktem, że prócz tych, co nam zasuwają przemówienia, w które sami nie zawsze wierzą, układają ustawy, które sami łamią - są jeszcze i ci, którzy to wszystko przesiewają przez swe sito.

Prawda, są dziennikarze, nie mówiąc już o politykach, którzy usiłują połączyć to, czego nie da się - chociażby ognia i wody. O ile jednak polityk może mówić każdemu co innego i z żadnych zobowiązań nie wywiązać się, to doskonale wiemy, jaka opinia bywa o gazecie, która zachowuje się podobnie. Szukając natomiast dziury w całym, można znaleźć i inne defekty.

I naprawić je zanim nie jest późno.

Tomasz Bończa